PROF. FELIKS KONECZNY

ŚWIĘCI W DZIEJACH NARODU POLSKIEGO

TOM V

MIEJSCE PIASTOWE — 1939
NAKŁADEM TOWARZYSTWA ŚWIĘTEGO MICHAŁA ARCHANIOŁA

Nie należy mniemać, jakoby spolszczenie polegało na samym tylko przyjęciu języka polskiego. Gruby to błąd, bo można w polskim języku służyć obcym cywilizacjom, wrogim nawet dla polskości. Mówiąc i pisząc po polsku, można doskonale wysługiwać się cywilizacji bizantyńskiej, lub turańskiej (azjatycko-moskiewskiej), czy też żydowskiej. Czyż Żydzi mało książek ogłaszają po polsku, zatruwając duszę polską?

Ta inteligencja ruska, która w następstwie prac misyjnych Skargi i jego pomocników przyjmowała katolicyzm w obrządku łacińskim, przejęła się zarazem cywilizacją łacińską i dlatego stała się polską na wskroś, polską z ducha.

Było to wydarzeniem niezmiernej wagi, gdyż zanosiło się właśnie na starcie się rozmaitych cywilizacji we wschodnich prowincjach królestwa polskiego, i w całym Wielkim Księstwie Litewskim. Oznaki zapowiadające to nieszczęście, jakby znaki w powietrzu przed burzą, pojawiały się jeszcze za życia Skargi. Powstawały wiry zamieszania się i zderzenia cywilizacji; ludzie nie wiedzieli, czego się trzymać, często nie wiedzieli po prostu, czego sami chcą. Wytwarzała się w Polsce rozterka myśli.

Ciężkiemu temu zagadnieniu przyjrzymy się bliżej w następnym rozdziale.

20. NAJSZERSZE GRANICE.

Wkraczamy w okres, kiedy państwo polskie było największe, najrozleglejsze; w okres najszerszych granic. Były to czasy najdzielniejszego wojska i znakomitych wodzów; lecz powstają przykre rozterki wewnętrzne, które musiały podkopać siłę nawet potężnego państwa. Przecież w rok po śmierci wielkiego Zamojskiego wybuchła wojna domowa!

Skądżeż to? Słyszy się nieraz, że przyczyna złego tkwiła w elekcyjności tronu. Ależ wybierano Jagiellonów jednego po drugim, jakby w państwie dziedzicznym, trzymano się tego rodu nawet po kądzieli, wynosząc na tron Annę Jagiellonkę, następnie syna Katarzyny Jagiellonki i jego potem dwóch synów. Był tedy w Polsce silny zmysł dynastyczny i aż do r. 1668 elekcje stanowiły tylko formalność.

Lecz po cóż ta formalność? Bo się obawiano, żeby królowie nie nadali sobie władzy nieograniczonej, żeby nie wprowadzili rządów absolutnych, gdyby byli pewni dziedzicznej korony. Szedł do tego zły przykład z państw zachodniej Europy; wszędzie królowie przestawali uznawać prawa obywateli wobec państwa i łamali wszelki samorząd. Gdy nastały spory wyznaniowe, obie strony same ofiarowały monarchom władzę absolutną,

byle król zgniótł i wytępił stronę przeciwną. Wszakżeż dochodziło do tego, że panujący decydowali o religii swych poddanych! I znaleźli sobie prawników, którzy wywodzili, że tak być powinno, że król nie ma słuchać żadnych praw, że stoi ponad prawem, a prawem jest jego wola.

W wiekach średnich nazwano by absurdem takie pojmowanie rządów. Ale w zapale do starożytnictwa znalazła się furtka do nieograniczonej władzy monarszej. Na wielkim prądzie humanizmu, o którym była mowa w rozdziale 17, zyskały wiele sztuki piękne i literatura, i nauki; lecz nauki tylko oprócz jednej, prócz prawa publicznego. Zaczęto czerpać wzory ze starożytnego prawa rzymskiego, lecz z czasów rzymskiego cesarstwa. Nie wiedziano jeszcze wtedy, że to prawo głoszące samowładzę monarszą powstało pod silnym wpływem Azji, z podbitych prowincji azjatyckich. Wielbiąc na ślepo wszystko, co pochodziło ze starożytnego Rzymu, rzucono się też z zapałem do tego rzymskiego prawa publicznego. Kierunek ten nazywał się legizm. Oczywiście, że studia te i zamiłowania były popierane na dworach monarszych.

W Polsce legizmu nie przyjęto, a z królów dopiero Zygmunt III uważał, że może z koroną i z państwem robić, co zechce, jakoby z prywatną swoją własnością. Widzieliśmy, jak sam wielki Zamojski stanął w opozycji. Ale to był polityk roztropny, wiedział co można, i jak można, a czego nie można. Ledwie oczy zamknął, wybuchł rokosz.

Wielki Zamojski pozostawił Polsce po sobie wielkiego ucznia: Stanisława Żółkiewskiego. Ten, urodzony w r. 1547, we wsi Turynce (województwa lwowskiego) w rodzinie senatorskiej, po skończeniu szkół oddany był na dwór Zamojskiego, żeby się zaprawiać do spraw publicznych, politycznych i rycerskich. Na samym wstępie panowania

Batorego dowodził w gdańskiej wyprawie rotą wystawioną przez Zamojskiego. Podczas następnego bezkrólewia odznaczył się nawet w bitwie pod Byczyną; walcząc na czele jazdy zdobył wielką chorągiew arcyksięcia Maksymiliana, żółtą z czarnym orłem cesarskim. Odniósł tam ranę i to ciężką, ale też otrzymał nominację na hetmana polnego. Towarzyszył nadal swemu mistrzowi Zamojskiemu w wyprawie na Wołoszczyznę i w początkach wojen szwedzkich; on sam wziął do niewoli wodza szwedzkiego, Jakuba de la Gardie. Ten dzielny hetman stanowił tedy jakby ciąg dalszy Zamojskiego wobec rokoszu, jaki wybuchł wnet po zgonie tamtego. Było to w r. 1606.

Nie można przyznać roztropności głowie rokoszu, wojewodzie krakowskiemu, Mikołajowi Zebrzydowskiemu. A był to gorliwy katolik. Był tercjarzem bernardyńskim, wielkim dobrodziejem ich najstarszego klasztoru, tego „kapistrańskiego" pod Wawelem w Krakowie. Potem zaś ufundował sławną na cały świat Kalwarię Zebrzydowską, o pięć mil od Krakowa, w sąsiedztwie swego zamku w Lanckoronie. Syn jego i bratanek wstąpili nawet do Bernardynów. Był to więc dom na wskroś katolicki, który stanął do rozprawy orężnej z królem również katolickim. Nie o wyznaniowe spory chodziło, lecz o to, że król łamał coraz bardziej prawo krajowe. Ale gdy rokosz wybuchł, przyłączyli się do niego od razu dysydenci, tj. protestanci wszystkich sekt, tudzież dyzunici, tj. prawosławni przeciwnicy unii brzeskiej. Ci radzi by pozbyć się króla, który był surowym katolikiem, i radzi by powołać na jego miejsce jakiego sympatyka protestantyzmu; takiemu chętnie pozwoliliby rządzić absolutystycznie. Panował więc w obozie Zebrzydowskiego prawdziwy galimatias pojęć; łączy ich tylko sam początek sprawy, wybuch zbrojnego oporu; ale cele rokoszu pojmowano rozmaicie.

Ksiądz Piotr Skarga stanął z całą energią po stronie królewskiej. Jakżeż to? Dookoła Turek, Moskal, Szwed, a oni tu urządzają wojnę domową? Na próżno jednak jeździł do Lanckorony, żeby przywieść wojewodę do upamiętania. Wystąpili więc w obronie porządku publicznego hetmani Chodkiewicz i Żółkiewski, powołując wojsko do broni przeciw rokoszanom i rozbili ich pod Guzowem w r. 1607. Nie miało to znaczyć, żeby byli zwolennikami absolutyzmu. Zaznaczał Skarga swe stanowisko wyraźnie: „Nie taką monarchię chwalimy, jaka jest u Turków, Tatarów i Moskali, która ma bezprawne panowanie, ale taką, która sprawiedliwymi prawy i radą mądrą podparta jest, i moc swoją ustawami pobożnymi umiarkowaną i określoną ma".

Hetman zaś Stanisław Żółkiewski pobiwszy rokoszan, nie żywił żadnej mściwości, lecz ze wszystkich sił swoich starał się, żeby przywrócić w Polsce zgodę. I osięgnął ten cel; on sam prowadził na sejmie 1608 r. Zebrzydowskiego przed tron królewski; rokoszanin przeprosił i przyrzekł dotrzymywać wierności, a król wielkodusznie przebaczył.

Wsławiony już kilkakrotnie Żółkiewski celował prostotą i skromnością. Zasłynął z niezwykłej bogobojności, z ofiarnej miłości Ojczyzny i z nadzwyczajnego przywiązania do wiary św. Całe jego życie prywatne i publiczne było doprawdy jednym pasmem świętości i zwano go też często „świętym hetmanem". Nieraz już występowano z myślą, żeby się zająć jego beatyfikacją; miejmyż otuchę, że zajmie się tym narodowa armia w państwie niepodległym.

Tymczasem Samozwaniec, zebrawszy wojsko z ochotników, pobił Godunowa i zasiadł rzeczywiście na tronie carów. Wśród rotmistrzów jego hufców zapamiętajmy so-

bie Makarego Demęzkiego. Był to Rusin prawosławny, który przyjął następnie arianizm.

Ponieważ Samozwaniec obiecywał był w Krakowie Jezuicie ks. Sawickiemu i za jego pośrednictwem samemu królowi, że wprowadzi w państwo moskiewskie unię brzeską, jechała więc z nim cała misja. Jechał do Moskwy ks. Sawicki i proboszcz z Sambora, ks. Franciszek Pomarski z rodzonym bratem swym Stanisławem, który mu usługiwał do mszy św.; tudzież siedmiu księży Bernardynów. Przewodził im O. Benedykt Gąsiorek z tytułem „komisarza moskiewskiego". Pochodził ten zakonnik z możnej mieszczańskiej rodziny ze Lwowa, był już prowincjałem zakonu, a obeznany był z wielkim światem i za młodszych lat przebywał w Paryżu i w Rzymie. Z wielką pompą obchodzili ci Bernardyni w Moskwie Zielone Świątki. Zwłaszcza dziwowali się Moskale muzyce przy mszy św.; tak się cisnęli koło kwatery bernardyńskiej, iż łamali płoty.

Ale o przyrzekanej unii cerkiewnej Samozwaniec w Moskwie ani myślał. Wiedział, że w takim razie musiałby sam zaraz uciekać przed Moskalami.

Wyraźnym ostrzeżeniem była męczeńska śmierć braci Pomarskich, zamordowanych przy ołtarzu dn. 27 maja 1606 r. Wkrótce potem padł też sam Samozwaniec ofiarą spisku, uknutego przez kniaziów Szujskich. Dostał się wtedy do niewoli nowych władców wraz z wielu innymi rotmistrz Demęzki, a w więzieniu miał spotkanie zaiste cudowne. Towarzyszem niewoli był mu Karmelita Bosy O. Paweł Szymon, który wybierał się przez Moskwę na misje do Persji. Nawrócony przez niego, ślubował rotmistrz, że wstąpi do jakiego zakonu, jeżeli danym mu będzie wydostać się z niewoli i dobrnąć do Polski. Bernardynów zaś naszych wywieziono do Jarosławia nad Wołgą, gdzie jednak pozwalano im ruszać się swobodnie i odprawiać nabożeń-

stwa. Nawrócili nawet kilkadziesiąt osób. Niestety, tam zabrała śmierć O. Gąsiorka w sierpniu 1607 r. Sami Moskale mieli go za świętego; całowali ręce i stopy zmarłego. Nie chcieli zwłok wypuścić z miasta, a gdy je potem przewożono do Polski, trzeba to było robić po kryjomu, a w Jarosławiu wyprawić udany pogrzeb.

Nowy car, Wasyl Szujski, zawierał przymierze z Karolem Sudermańskim przeciwko Zygmuntowi III, więc mu król wypowiedział wojnę. Hetman Żółkiewski chciał ruszać prosto na Moskwę, ale Zygmunt III uparł się, że wpierw musi odzyskać Smoleńsk (utracony za Zygmunta Starego). Zdobył go istotnie po trzech latach, ale przez trzy lata całe niemal wojsko tam musiało pozostawać. Hetman zaś miał w pochodzie na Moskwę ledwie 3.000 jazdy i jeden tysiąc piechoty. Co za wodzów jednak wówczas mieliśmy! Z takim drobnym wojskiem rozgromił „święty hetman" pod Kłuszynem 46.000 Moskali i sprzymierzonych z nimi Szwedów. W zwycięskim pochodzie stanął Żółkiewski pod Moskwą w sierpniu 1610 r. i doprowadził do tego, że Moskale sami przyprowadzili mu do obozu Szujskich do niewoli, a powoływali na tron królewicza polskiego Władysława, który liczył natenczas lat 15. Zdawało się, że się spełniają wielkie plany Batorego i Zamojskiego, że potęga moskiewska złączy się z nami i wyruszymy wspólnie na Turka i będzie Polska od morza do morza, a Kościół na Bałkanie uwolni się spod jarzma muzułmańskiego.

Ale Zygmunt III uparł się, że nad Polską, Litwą i Moskwą ma być jeden tylko wspólny monarcha, a tym monarchą ma być on sam. Na hetmana rozgniewał się, kazał mu wracać spod Moskwy, a syna tam nie puścił.

Wraca więc „święty hetman". Odbył tryumfalny wjazd do Warszawy, wiodąc przed króla i sejm zgromadzony jeńców swych, carów Szujskich. Tryumf to był wojskowy

nielada, lecz Żółkiewski czuł się pokonanym politycznie. Spodziewał się, że gdy młody królewicz Władysław zasiądzie na tronie carskim, doprowadzi moskiewskich poddanych z czasem do tego, że w spokoju i zgodnie, z własnego przekonania będą przyjmowali unię; że nie będzie już w przyszłości wojen polsko-moskiewskich; że zaprzyjaźniona z nami Moskwa skłoni się wreszcie do wspólnej wyprawy na Turcję, że więc spełnią się wielkie plany Batorego i Zamojskiego. Te nadzieje rozwiał niestety król Zygmunt III, mniemając upornie, że używszy siły osiągnie szybko za jednym cięgiem to, do czego Żółkiewski radził zmierzać wolniej i ostrożnie.

Ale w Moskwie nie chciano Zygmunta III z obawy, że będzie przemocą wprowadzał unię cerkiewną. I tak pozostali Moskale przez trzy lata bez cara, bez rządu. Nareszcie lud prosty zaczął się domagać jakiegoś cara i w r. 1613 wprowadzono na tron Michała Romanowa, od którego zaczyna się nowa dynastia w państwie moskiewskim, które następnie przerobiło się na Rosję.

Co zaś do unii brzeskiej, ani nawet w samym Wilnie losy jej nie były jeszcze pewne. W głównym wileńskim monasterze św. Trójcy przeważał duch schyzmy, a podczas rokoszu Zebrzydowskiego oświadczył się tamtejszy archimandryta jawnie za schyzmą. Obrońcą unii i męczennikiem za nią miał się stać Jozafat Kuncewicz, urodzony w r. 1580 we Włodzimierzu Wołyńskim, następnie kupczyk w Wilnie. Przejęty zamiłowaniem do nauki i poczuwszy powołanie kapłańskie, uczył się, korzystając z pomocy Jezuitów wileńskich i za ich radą pozostał przy obrządku wschodnim. Wstąpił właśnie do Bazylianów przy św. Trójcy w r. 1604. Wyświęcony na kapłana unickiego w r. 1609, został w tym monasterze po kilku latach archimandrytą. Nadawał przewagę kierunkowi unickiemu i dokonywał

licznych nawróceń w całej Wileńszczyźnie. Było to misjonarstwo innego pokroju, niż u Skargi. Działalność Kuncewicza była bardziej popularna, gdy tymczasem Skarga pozyskiwał wpływy wśród najwyższych warstw Rusi Litewskiej.

Ten sławny ksiądz Skarga kończył właśnie ziemski swój żywot w r. 1612, pełen smutku, gdy Polacy opuszczali Moskwę. Nieraz już miewał najgorsze przeczucia co do przyszłości Polski, a zwłaszcza w swych „kazaniach sejmowych". Chciał silnej władzy królewskiej, lecz bez absolutyzmu; tego nie rozumiał król, a tamtego wielmożowie; w środku zaś sejm, jak na rozstajnych drogach. Skarga groził, że państwo upadnie; raz nawet przepowiedział rozbiory. Wyprorokował? Sam o sobie powiedział co następuje:

„Jać objawienia osobliwego od Pana Boga nie mam, ale posłannictwo do was mam od Pana Boga".

A jak kochał Ojczyznę! Jest po Długoszu drugim uczonym autorem polskim, na którego pismach można uczyć się miłości Ojczyzny. Doskonale też określił, gdzie źródło prawdziwe patriotyzmu i w czym patriotyzmu siła: „Nie dlatego kochamy Ojczyznę naszą, Polskę, że nas żywi, ale dlatego, iż jest postanowienia Bożego". Bo z woli Bożej istnieją narody, powołane do współpracownictwa w spełnianiu ideałów duchowych i moralnych. Skoro sam Bóg ustanowił nam tę Ojczyznę i kazał nam być Polakami, a więc jest to obowiązkiem religijnym Polaka, żeby był dobrym Polakiem.

Mając tyle zajęcia przy sprawach publicznych, i wydając tyle książek swego pióra, oddany był niespożyty ksiądz Skarga nadto jeszcze pracy społecznej. Zakładał „banki pobożne" i „bractwa miłosierdzia" w Krakowie, Poznaniu, w Warszawie, w Wilnie i Lublinie. Towarzyszyła

mu też opinia świętości, gdy go w r. 1612 grzebiono w krakowskim kościele św. Piotra. Tuszymy sobie, że niedługo wolno będzie oddawać mu cześć świętości publicznie na ołtarzach.

Kazanie pogrzebowe wygłosił nad trumną Skargi drugi najsławniejszy po nim kaznodzieja, Dominikanin, ks. Fabian Birkowski. W kazaniu tym znajduje się ciekawa zaiste wiadomość, „rzecz dziwna i pamięci godna". Przed śmiercią posłał ks. Skarga do Częstochowy świecę woskową, którą własnymi rękoma zrobił (lubiał się tym zabawiać w chwilach wypoczynku). Otóż — opowiada ks. Birkowski — „w ten dzień i w ten czas, tj. 27 września (1612) po nieszpornych godzinach, ona świeca dogorzawszy zgasła, kiedy ten, który ją posłał, tu w Krakowie zgasł. Zgasła świeca słowa Bożego wpół Kościoła zapalona; umarł nie tylko słowy, ale żywotem doskonały kaznodzieja".

Rok przed śmiercią Skargi przybył do Krakowa znany nam z Moskwy rotmistrz Demęzki. Powiodło mu się wyrwać z niewoli. Przyczłapał się aż do Krakowa przebrany za wędrownego rzemieślnika, i rozglądał się po Krakowie, do którego by tu wstąpić klasztoru, żeby spełnić swój ślub. Jakaż niespodzianka! Dowiaduje się, że u Karmelitów Bosych jest przełożonym dawny towarzysz niewoli, O. Paweł Szymon! Oczywiście tam się udał i wstąpił do nowicjatu mając już lat 45. Wkrótce potem przeznaczono go do klasztoru w Przemyślu. Usłyszymy jeszcze o nim.

Tego samego roku 1611, również więc na rok przed zgonem Skargi, wstępował do nowicjatu jezuickiego w Wilnie św. Andrzej Bobola, pochodzący z ziemiańskiej rodziny w Sandomierskiem. Wysłano go potem do Brunsbergi na Warmii, do najstarszego w Polsce domu jezuickiego fundacji samego Hozjusza. Uczył w tamtejszej szkole gramatyki aż do r. 1617.

Te same lata przebył Jozafat Kuncewicz w Kijowie, pozyskując tam szacunek nawet mnichów największej twierdzy prawosławia, tzw. Ławry Peczerskiej. Stamtąd przeniósł się w r. 1617 na biskupstwo unickie do Połocka na Białorusi. Nikt nie znał tak dobrze całej Rusi, koronnej i litewskiej, jak on: od Kijowa po Połock.

Lecz wracajmy do dalszego wątku historii politycznej. Car Michał Romanow na próżno próbował odebrać Smoleńsk, a nasz Zygmunt Waza zdecydował się wreszcie w r. 1617 — szkoda, że o siedem lat za późno — wyprawić syna do Moskwy.

W tym miejscu dziwnie splatają się stosunki polsko-szwedzkie wobec Moskwy. Nie żył już Karol Sudermański, a nastąpił po nim syn jego Gustaw Adolf. Zygmunt III zaprotestował od razu przeciw objęciu tronu, który on uważał za swój. W odpowiedzi na to wpadł Gustaw Adolf zaraz do Inflant polskich, a nie znajdując należytego oporu, zdobył wielką część tej ważnej krainy nadmorskiej. Przestało już obowiązywać przymierze Moskwy ze Szwecją, zawarte przez cara Szujskiego. Car Michał Romanow pozostawał w wojnie z Gustawem Adolfem. Oręż szwedzki odnosił wielkie przewagi; już Nowogród Wielki był zagarnięty, już też Psków przez Szwedów oblęgany... Gdybyż było porozumienie pomiędzy Szwecją a Polską! Gdyby Szwedzi byli wojowali dalej z Moskwą, sama równoczesność działań wojennych stanowiłaby dla Moskwy istne kleszcze wojenne, z których niełatwo byłoby się wydostać. Ale skoro tylko rozeszła się wieść, że królewicz Władysław ruszy przeciw carowi Michałowi, Gustaw Adolf tej chwili zwrócił Moskwie dobrowolnie wszystkie zdobycze i zawarł pokój, żeby mieć wolne ręce przeciw Zygmuntowi III.

Nie można było bronić należycie Inflant przed Szwedami, skoro się urządzało równocześnie wyprawę na Mo-

skwę. A królewiczowi szczęściło się. W szybkim pochodzie, zdobywając po drodze ważne grody, stanął w październiku 1618 r. pod miastem Moskwą. Dopomógł królewiczowi niemało Żółkiewski tym, że zjednał mu posiłki od Kozaków. Miał u nich powagę i sympatię, bo obchodził się z nimi „po ludzku" i myślał o tym, jakby ich związać stale z państwem polsko-litewskim. Kozacy zaś bywali niepewni, a do wybryków skłonni. Żółkiewski chciał ich pozyskać, ale inni siłą chcieli zmusić do posłuszeństwa i uciemiężyć. Ci wydawali przeciwko Żółkiewskiemu rozmaite pisma obelżywe, co dotykało go boleśnie, lecz nie odwróciło od przekonań, jakie uważał za słuszne.

W Moskwie rozpoczęto układy pokojowe, bo tymczasem groziła utrata Inflant i jeszcze na dobitkę sułtan Osman wyprawił w tym samym roku całą ordę tatarską na Polskę. Byłaby może wyprawa moskiewska nie dała wyniku, gdyby Żółkiewski nie był Tatarom stawił czoła pod Orymunem. Ostatecznie zawarto z Moskwą w grudniu 1618 r. w Dywilinie rozejm na lat 16, na warunkach dla Polski jak najkorzystniejszych. Klęska caratu była stanowcza. Moskwa odstępowała trzy rozległe ziemie: smoleńską, siewierską i czernichowską. Granice państwa polsko-litewskiego posuwały się daleko na wschód poza Dniepr. Polska doszła do największego rozszerzenia granic, które trwało do r. 1654.

Nie danym było Polsce używać w spokoju owoców rozejmu dywilińskiego. Pokonaliśmy Moskwę, a miało się jeszcze przeciw sobie Turcję. Zaraz w roku następnym po Dywilinie wypuścił sułtan na Polskę Tatarów. Żółkiewski przedstawił sejmowi 1619 r., jako według jego informacji Turcja przygotowuje się do walnej z nami rozprawy; lecz go słuchać nie chciano i zakrzyczano go, że umyślnie przesadza. Po cóż miałby na próżno straszyć? Albo mu

może tęskno było za nową wojną? Wojował już 44 lata. Prosił nawet króla, żeby go już zwolnił z hetmaństwa, lecz o tym król nie chciał słyszeć.

W r. 1620 ruszyło na Polskę 80.000 Turków i Tatarów. Hetman Żółkiewski starał się wstrzymać ich w pochodzie, więc wyszedł naprzeciw nich i przeprawił się przez rzekę Dniestr. A zdołał zebrać na prędce ledwie 8.000 żołnierzy, dziesiątą część tego, co miał nieprzyjaciel. Stanął jednak obozem pod Cecorą, żeby im zagrodzić drogę, w tej myśli, że król zajmie się tymczasem zebraniem większego wojska. Gdybyż Żółkiewski otrzymał na pomoc żołnierza z Inflant! Ale na próżno czekał na posiłki. Wojsko jego zaczęło szemrać, a gdy stracono wszelką nadzieję pomocy, trzeba było rozpocząć odwrót. Hetman utworzył wielki tabor, czyli ruchomą warownię z wozów i cofał się zwolna ku Dniestrowi, opędzając się na wszystkie strony podjazdom tureckim i tatarskim. Już blisko byli granicy, gdy niecierpliwość i niekarność wojska popsuła hetmanowi szyki i Turcy tabor rozbili. Dniestr był opodal i niektóre hufce pędziły samopas ku rzece, ażeby jak najprędzej znaleźć się na polskim brzegu.

Stary hetman nie stracił na chwilę poczucia, co winien honorowi; wolał zginąć, niż uciekać. Dobywszy pałasza, sam ruszył ku przednim szeregom, żeby je na nowo uszykować. O zwycięstwie nie było co myśleć; znalazło się jednak dosyć rycerstwa, które porwane przykładem sędziwego wodza, otoczyło go. Działo się tu coś podobnego, jak z królem Władysławem III pod Warną. Garstka najdzielniejszych rzedniała coraz bardziej wobec straszliwej przewagi nieprzyjaciela. Wkrótce było ich żywych tylko kilkudziesięciu, niebawem tylko kilkunastu, a w końcu zaledwie kilku, a wśród nich dwaj synowie hetmańscy.

Tych kilku ostatnich bohaterów poczęło błagać hetmana, ażeby ocalił swe życie, żeby dosiadł konia i uciekał ku granicy. Oni zaś tymczasem mieli na chwilę zająć jeszcze Turków swymi szablami, a zanim by polegli, hetman mógłby może być bezpiecznym. Odrzucił jednakże te rady Żółkiewski. Gdy mu podano konia, przebił go szablą, a do grona swych towarzyszów zwrócił się tymi słowy: „Miło mi przy was umrzeć. Niech Bóg nade mną wyrok kończy". Wtem został raniony i z trudem tylko mógł kroczyć. Nowe błagania i zaklęcia, żeby jeszcze próbował ucieczki, ale on odrzuca je znowu. Wtenczas obaj synowie stoją przy nim z dobytymi pałaszami, a on oparty na ich ramionach idzie dalej na szeregi tureckie, szukając zaszczytnej śmierci. Nie potrzebował długo na nią czekać. Miał ramię odrąbane i rozciętą głowę. Jeden syn poległ wraz z ojcem, drugi dostał się do niewoli.

Tak zmarł jeden z największych mężów naszych dziejów, wielki wódz, a przy tym wielki zarazem człowiek, bo to był charakter czysty, jak łza. Nie wszyscy współcześni poznali się na nim i wiele musiał znosić przykrości, ale historia zapisuje jego imię wśród takich, przed którymi korzą się pokolenia. Ciało jego sprowadzono następnie do założonego przez niego na Rusi Czerwonej grodu Żółkwi i pochowano w tamtejszym kościele parafialnym, a na grobowcu wyryto napis po łacinie: Exoriare nostris ex ossibus ultor, co po polsku znaczy: Oby z kości naszych powstał mściciel! I rzeczywiście znalazł się taki mściciel w rodzie Żółkiewskiego, jak o tym później rzecz będzie.

Został po Żółkiewskim pierścień z ciekawym napisem: mancypium Mariae tj. służka Marii. Miał szczególne nabożeństwo do Najśw. Marii Panny i do św. patronów polskich. W jednej z bitw z Tatarami (nad Udyczem) dał

wojsku hasło: Boga Rodzica; a w bitwie pod Smoleńskiem: św. Kazimierz. Kiedy mu gratulowano wielkiego zwycięstwa pod Kłuszynem, odparł: „moje zasługi w tym bardzo małe. Mdłymi ramiony tak wielkiego ciężaru nie podobna podźwignąć. Cudownej, miłościwej łasce Bożej wszystko ma być poczytane". Miewał zawsze żołnierzy mniej (i to znacznie mniej), niż nieprzyjaciel. Mawiał wtedy do żołnierzy: „o mocy nieprzyjacielskiej też wiem, ale mocniejszy na niebie Bóg".

Pozostało też po nim niemało dzieł miłosierdzia, w czym podobny był do Skargi. W założonym przez siebie mieście Żółkwi ufundował szpital, kościół kolegiacki i szkołę przy nim. Był dobrodziejem Dominikanów we Lwowie, a Jezuitom wystawił dom daleko na Ukrainie, w Barze. Ustanawiał również fundacje dla unitów: wspierał Bazylianów w Żółkwi i wystawił tam cerkiew unicką i drugą w Krechowie.

Godny jest pamięci ludzkiej testament świętego hetmana, w którym zwraca się do syna w te słowa: „Wiarę świętą chrześcijańską, powszechną, mocno i statecznie trzymaj. Dla niej krwi rozlać i żywota położyć nie żałuj. Odpłata u Pana Boga za to, kto dobrą chęcią, dobrym sercem służy Rzeczypospolitej. Młodsze lata naukami poleruj. Z nauki pomoc do godności, do służby Rzeczypospolitej i do uczciwego życia mieć będziesz. Rycerskie ćwiczenie jest najprzystojniejsze szlachectwu. Próżnowania się strzeż jak powietrza. I poganie rozumieli, że śmierć dla ojczyzny jest słodka, nuż jeszcze dla wiary świętej trafi się okazja położyć żywot — i u ludzi sławna i u Boga odpłatna".

Tymczasem w Polsce bitwa cecorska miała swój ciąg dalszy. Tragiczny zgon hetmański przejął grozą cały naród. Następnego roku zebrano 66 tysięcy wojska z Polski

i z Litwy pod hetmanem wielkim litewskim Janem Karolem Chodkiewiczem. Założono znów warowny obóz za Dniestrem pod Chocimem i wytrzymano tam chwalebnie oblężenie przez armię turecką, liczącą aż trzysta tysięcy. Zawisła jednak jakaś fatalność nad wodzami tej wojny: Chodkiewicz umarł w obozie chocimskim. Dowództwo objął po nim hetman polny koronny, Stanisław Lubomirski, a nie dawszy się Turkom, zmusił ich do zawarcia zaszczytnego rozejmu.

21. NOWY OKRES ŚWIĘTYCH.

Wiemy z dotychczasowych opowiadań o świętych w dziejach Polski, że bywają okresy szczególnie w świętość obfitujące, a także inne, gdzie łaska świętości mniej w społeczeństwie się rozlewa. Przypomnijmy sobie, jak podziwialiśmy całe grono świętych w czasach panowania Bolesława Wielkiego, drugim razem podczas najazdów mongolskich, następnie za króla Kazimierza Jagiellończyka owo święte towarzystwo, zebrane w samej stolicy Polski, w Krakowie. Oto po raz czwarty ma się powtórzyć podobna żyzność świętości na polskiej glebie w pierwszej połowie XVII w., a dzieje tych świętych, błogosławionych i świątobliwych pociągają nas tym bardziej, że większość ich, to męczennicy.

Na początek tego grona stają święci Ślązacy. Politycznie oderwana od Polski piękna ziemia śląska, nie zatracała wcale łączności duchowej a któryż jej szczebel jest najwyższy, jeżeli nie łączność przez świętych, a do tego męczenników? Od Ślązaków więc zaczyna się ten nowy polski okres świętych.

W r. 1618 rozszerzyło się państwo polskie, ale na wschód Przyłączano do państwa obszary wielkie, bardzo wielkie Ale jeden powiat śląski byłby wartał dla nas więcej,

niż te wszystkie dalekie wschodnie ukrainy ruskie. Niebawem zaś nastały okoliczności, które pozwalały myśleć o Śląska odzyskaniu.

Cofnijmy się o trzy lata wstecz od końca poprzedniego rozdziału.

Wybuchła w Niemczech wielka wojna religijna, która miała trwać lat trzydzieści (1618—1648), wielka rozprawa orężna katolicyzmu z protestantyzmem. Chciała się w nią wmieszać protestancka Szwecja, więc Gustaw Adolf cztery razy zgłaszał się o pokój, lecz otrzymywał zawsze tylko rozejm, bo Zygmunt III nie chciał się zrzec tronu szwedzkiego, a stały pokój był bez tego warunku niemożebny. Przystając tylko na rozejmy, zaznaczał Zygmunt III, że nie może pogodzić się na stałe z Gustawem. Roiło mu się ciągle, że Habsburgowie dostarczą mu wojska do odzyskania korony szwedzkiej, skoro tylko uporają się z protestantami.

Wojna trzydziestoletnia zaczęła się na polskim Śląsku, który należał jednak do królestwa czeskiego, a pod panowanie Habsburgów. Pierwsze rozruchy wybuchły na Śląsku, gdy luteranie gwałtem (wyłamując drzwi i okna) zawładnęli kościołami w Cieszynie, w Skoczowie i w Strumieniu. W niedalekim Cieszynie władali książęta protestantcy, chociaż pochodzący ze staropolskiej dynastii Piastów, bo gałąź śląska istniała aż do r. 1653 (niestety całkowicie zniemczona). Ale nie brakło w kraju katolików, ani pośród szlachty, zwłaszcza gdzie dochowały się tradycje polskie.

O kilka kilometrów za Skoczowem jest wieś Grodźce, gniazdo szlacheckie Grodzieckich. Było ich z końcem XVI w. czterech braci: Jan biskup ołomuniecki, Wacław dziekan w Bernie morawskim, Andrzej kasztelan cieszyński i Henryk, który sprawował gospodarstwo w majątku dzie-

dzicznym. Ten syna swego Melchiora oddał na naukę do szkół jezuickich w Wiedniu (wiadomych nam już z żywota Stanisława Kostki). Melchior wstąpił następnie do tegoż zakonu. Święcenia kapłańskie otrzymał w Pradze w r. 1614, kiedy liczył zaledwie lat 22. Został tam kapelanem przy bursie ubogich i tam zastał go wybuch wojny 30-letniej w r. 1618, na której tle miał dostąpić łaski męczeństwa, ażeby być potem wyniesionym na ołtarze, jako błogosławiony.

Równocześnie przygotowywały się losy drugiego Ślązaka, również beatyfikowanego. Szczególną czuli protestanci nienawiść do proboszcza w Skoczowie, bł. Jana Sarkandra. Był to rodowity Skoczowianin, Polak tedy, chociaż poza granicami państwa polskiego, bo wraz z całym Cieszyńskiem poddany „cesarski" z racji korony czeskiej. W czeskich, a w ogóle „cesarskich" krajach tj. Habsburskich, musiał szukać szczebli do kapłańskiej godności. Uczył się najpierw w niedalekim Przyborzu na Morawach, następnie w Ołomuńcu u Jezuitów, potem w Pradze, gdzie uzyskał w r. 1603 stopień doktora filozofii; ale święcenia kapłańskie wypadło mu przyjmować aż w dalekim Gracu, stolicy Styrii. Był potem wikarym w kilku miejscach, od r. 1616 proboszczem w Goleszowie na Śląsku. Do jego parafii protestantyzm nie miał dostępu; fala odszczepieńcza rozbijała się o jego działalność, jak o skałę. Spierano się o każdą parafię, ale katolikom wiodło się coraz gorzej, gdyż książęta śląscy (owi zniemczeni Piastowie) przechodzili raz wraz na protestantyzm, przyłączając się do niemieckiego protestanckiego obozu.

Całe Niemcy były już zorganizowane do walki. Katolikom przewodzili Habsburgowie, którzy byli zarazem królami czeskimi i panami zwierzchnimi Śląska. Naczelnikiem obozu przeciwnego był palatyn nadreński (książę

z Rzeszy dorzecza rzeki Renu) Fryderyk kalwin. Protestanci chcieli odebrać Habsburgom koronę cesarską, czeską i węgierską i wyzuć ich z krajów austriackich. W wir stronnictw niemieckich wciągnięte były tedy Czechy i pociągały za sobą Śląsk. W stolicy Czech, w Pradze, przybywało coraz więcej kalwinów, a w maju 1618 doszło tam do takiego rozruchu, iż z kancelarii w zamku królewskim wyrzucono przez okno trzech cesarskich dostojników. Stało się to hasłem do wojny, mającej trwać lat trzydzieści.

Władza kościelna doradzała cesarzowi, żeby wzmacniał katolicyzm innymi środkami, a nie wyciągał miecza z pochwy. Na próżno przestrzegał przed wojną domową obecny na dworze kardynał Klecl; uwięziono go, wywieziono do Insbruku w Tyrolu, żeby nie przeszkadzał. Habsburgowie bowiem chcieli wojny, żeby po zwycięstwie zapewnić sobie wszędzie władzę dziedziczną i absolutną.

Widząc tę zapalczywość, Czesi odpowiedzieli także zapalczywością i ofiarowali tron Fryderykowi palatynowi; w ten sposób przyjęli sprawę protestantyzmu niemieckiego za własną. Rwał się do tej wojny religijnej Zygmunt III i chciał, żeby polska ruszyła na pomoc Habsburgom; ale mieliśmy własnych wojen do zbytku! Sejm odmówił, lecz król zarządził prywatny werbunek.

Na ten właśnie moment trafił w Polsce bł. Jan Sarkander. W r. 1619 odprawił pielgrzymkę do Częstochowy, po czym zwiedził Kraków, krzepiąc tak swoją polskość. Niewątpliwie byłby wolał, żeby nie było granicy pomiędzy Krakowem a Cieszynem.

W tym samym czasie bł. Melchior Grodziecki wygnany był z Pragi przez kalwinów. Udał się na Morawy, ale w maju 1619 r. musiał się schronić dalej na wschód na Słowaczyznę, gdzie zgłosił się do klasztoru jezuickiego

w Homononie i tam złożył ostatnie wyższe śluby zakonne. Z rozkazu przełożonych zgłosił się na kapelana wojskowego w katolickiej armii Habsburgów w pułku, który miał natenczas swoją stację w mieście Koszycach, leżącym już w królestwie węgierskim. O to królestwo wrzała właśnie zacięta wojna. Znaczna część Węgrów przyjęła także kalwinizm, a wódz ich, osławiony z okrucieństwa Bethlen Gabor, ścigał oddziały habsburskie. Podszedł wreszcie pod Koszyce. Broniła się do ostatka nieduża załoga koszyckiego zamku, wierna, a podtrzymywana moralnie przez trzech kapłanów katolickich, z których jednym był bł. Melchior. Ale mieszczaństwo koszyckie zdradziło i wydali miasto, gdy nadciągnął drugi jeszcze wódz węgierskich protestantów, Jerzy Rakoczy (który łupił potem Polskę). Zajęto w końcu także gród, a schwytanych kapłanów zaczęto dręczyć i męczyć. Kaleczono ich nożami, wieszano na belce, szczypano obcęgami, rany przypalano płomieniem pochodni; wreszcie odcięto im głowy. Wraz z naszym O. Melchiorem spotkało męczeństwo węgierskiego Jezuitę Pongracza i słowackiego kanonika Kriża.

Kiedy kalwińskie wojska poszły dalej, katolicy zajęli się ciałami swych męczenników. Trzeba je było jednak przewozić z miejsca na miejsce, po rozmaitych kościołach i klasztorach, aż spoczęły na stałe w słowackiej Tyrnawie. A tymczasem ta izba na koszyckim zamku, w której ich zamęczono, cała zbryzgana ich krwią, stała się celem pielgrzymek, miejscem gorących modłów i łask otrzymywanych niewątpliwymi cudami. Już w r. 1628 rozpoczęto starania o ich beatyfikacje, ale doczekano się końca procesu beatyfikacyjnego dopiero w r. 1905. Obchodzono to uroczyście w Cieszynie w październiku 1905 r. wobec dziesiątek tysięcy zebranego ludu śląskiego. Przy kościele parafialnym wystawiono osobną kaplicę na cześć bł. Mel-

chiora i ufundowano internat dla polskich katolickich uczniów szkół średnich w Cieszynie.

Lecz wracajmy do dalszego przebiegu wojny 30-letniej, której świadkiem miał być bł. Sarkander zaledwie o jeden rok dłużej, niż bł. Grodziecki.

Przez jakiś czas cesarz Ferdynand II łudził Zygmunta nadzieją, że jako król czeski odstąpi cąłego Śląska królewiczowi Władysławowi; ale nigdy Habsburgowie nie myśleli poważnie o dotrzymaniu tego przyrzeczenia. Chodziło im tylko o to, żeby utrzymać Zygmunta w stanie wojennym ze Szwecją, żeby Gustaw Adolf nie mógł wmieszać się w wojnę tę niemiecką (a wzywali go protestanci na swego protektora).

Za królewskim poparciem zebrało się 6.000 zaciężnych ochotników pod pułkownikiem Lisowskim, zwanych od niego Lisowczykami. W r. 1620 przyłączyli się na Morawach do wojska cesarskiego. Czy kto z nich przypuszczał, że staną się pośrednio powodem męczeństwa rodaka, bł. Jana Sarkandra, który tymczasem został proboszczem właśnie w Skoczowie? Tamtędy wiodła droga Lisowczyków, a że przechód wojska, choćby sprzymierzonego, mógł wówczas pociągać za sobą wiele przykrości, bo żołnierz był niekarny, więc proboszcz obmyślił sobie sposób. Zarządził procesję z Najśw. Sakramentem naprzeciw Lisowczyków. Ci pozsiadali natychmiast z koni i poczekali na klęczkach, aż procesja przejdzie, a potem... pojechali dalej, całkiem się w Skoczowie nie zatrzymując. To właśnie nie podobało się protestantom i zaczęli głosić, że widocznie proboszcz pozostaje w przyjaznym porozumieniu z tym wojskiem, a nawet sam je może sprowadził. Ponieważ zaś dawno już na Sarkandra czyhali, skorzystali z chwilowej swej przewagi, pojmali go, i wydali urzędowi, który przez dłuższy czas sprawował z ramienia protestantów naczelną władzę nad

Morawami i Śląskiem, mianowicie magistratowi miasta Ołomuńca w lutym 1620 r. Tam wmawiano znów w niego, że był narzędziem politycznym katolickiego magnata czeskiego, księcia Lobkowica i chcieli wydrzeć tajemnicę jego spowiedzi. Przez miesiąc torturowano bł. Sarkandra, i to w takie wymyślne sposoby, że przypalanie obu boków pochodniami nie było jeszcze męczarnią najgorszą. Doprawdy, aż do bolszewickich czasów nie było wypadku, żeby się taka nikczemność złączyła z takim okrucieństwem. Skonał śląski nasz męczennik dnia 17 marca 1620 r. pochowany po tygodniu dopiero w kościele Matki Bożej w Ołomuńcu. Beatyfikował go papież Pius IX w r. 1860.

Gdy Lisowczycy stanęli do boju, natenczas protestancki związek czesko-niemiecki wszedł w porozumienie z sułtanem tureckim, żeby ruszył albo na Wiedeń, albo na Polskę. Wybrał sułtan Polskę, bo jakżeż mieliśmy dać radę największej w świecie potędze militarnej, mając równocześnie na północy wojnę z Gustawem Adolfem? Łączyli się tedy z muzułmaństwem i prawosławni i protestanci przeciw katolicyzmowi.

W miesiąc po klęsce cecorskiej doznali Czesi klęski która miała stać się końcem ich niepodległości. W lutym jeszcze 1620 roku odbierał we Wrocławiu Fryderyk kalwiński hołd, jako król czeski, a już w dziewięć miesięcy później, dnia 8 listopada 1620 r. stoczono walną bitwę na Białej Górze pod Pragą. Fryderyk stracił wojsko, koronę i dawne swe posiadłości w Niemczech. Cieszył się czeską koroną przez jednę tylko zimę, stąd szyderczy przydomek „króla zimowego“.

Musiał uciekać nie tylko z Czech, ale w ogóle z Niemiec i nie oparł się, aż w Holandii.

W Czechach zaczęła się przeraźliwa mściwość zwycięscy. Wyginęła na rusztowaniach cała niemal szlachta

czeska, dobra jej skonfiskowano i nadawano niemieckim oficerom habsburskich wojsk. Pobito kalwinizm, a pokutował naród czeski. Przez trzysta lat jakby nie było zgoła narodu czeskiego, aż dopiero w drugiej połowie wieku XIX odrodził się na nowo z korzenia, z ludu wiejskiego, i z resztek ludu miejskiego po mniejszych miastach.

Bardzo więc źle wyszli Czesi na tym, że swoją sprawę narodową powierzyli opiece kalwińskiej i że przystąpili do międzynarodowej koalicji antypolskiej. Nic im nie pomogło, że ajenci „króla zimowego“ dotarli do Konstantynopola i poruszyli Turków na Polskę. Bohaterska śmierć Żółkiewskiego nie wstrzymała nic a nic ich klęski na Białej Górze.

Turcja wchodziła w okres największego rozrostu swej potęgi militarnej. Mało im było, że panowali od blisko stu lat nad połową królestwa węgierskiego, gotowali się do wielkich wypraw, marząc o zdobyciu całych Węgier, Polski, Austrii i Włoch południowych. Toteż żałował sułtan, że jego wezyr zawierał w r. 1621 z Lubomirskim długi rozejm.

Nie dotrzymał sułtan swego zobowiązania, bo już w trzy lata potem zaczęła się nowa seria tatarskich najazdów. Co więcej, wymyślono w Carogrodzie nową broń przeciw Polsce, jeszcze gorszą od tatarskich najazdów, a skuteczniejszą. Urosła ta broń ze sojuszu schyzmatyckiego patriarchy ze sułtanem, sojuszu zawartego przeciw katolicyzmowi. Słyszeliśmy co dopiero o przymierzu protestantów z Turcją przeciwko Kościołowi, a teraz przyjrzymy się przymierzu schyzmy z półksiężycem i strasznym jego skutkom.

Unia brzeska poruszyła patriarchat schyzmatycki do obrony. Zaczęto wysyłać z Konstantynopola agentów na Ruś, żeby agitować przeciwko zaprowadzaniu unii brzeskiej. Obrona prawosławia stawała się coraz bardziej ha-

słem nienawiści przeciw państwu polskiemu, jako państwu katolickiemu; toteż obrona prawosławia godziła się z interesem Turcji, żeby doprowadzić do buntu ludność prawosławną i w ten sposób odebrać Polsce możność urządzania koalicji przeciw Turcji. Agitację prowadzono za pomocą bractw prawosławnych. Główne znajdowało się wciąż przy wileńskiej Cerkwi św. Trójcy i stąd rozchodziły się polecenia do wszystkich innych bractw po ważniejszych miastach Ukrainy i Białorusi, także do Połocka, gdzie bł. Jozafat Kuncewicz był już arcybiskupem unickim.

Podburzanie przeciwko unii zaczęło się od miasta Mohylowa. Gdy zanosiło się tam na rozlew krwi, wyjechał św. Jozafat, lecz władze rządowe zajęły się sprawą i przywódcy buntu skazani zostali na karę śmierci. Zygmunt III, wyobrażający sobie, że panujący ma rozstrzygać o religii, wyznaczył termin sześciotygodniowy na wprowadzenie unii w Mohylowie. Łatwo sobie wyobrazić, że przyjmowano ją pozornie, a pod popiołem tliło się coraz bardziej; bo wiara nie może być z przymusu, a niecierpliwość królewska przynosiła ciężkie szkody katolicyzmowi.

Właśnie wtedy wysłano z Carogrodu tytularnego patriarchę jerozolimskiego, Teofana. Ten powyświęcał na całej Rusi nowych dyzunickich episkopów (biskupów) i archimandrytów. Były więc odtąd dwie ruskie hierarchie wrogie sobie: unicka i dyzunicka. Lud posłusznym był dyzunickiej, zwłaszcza że uwijali się agitatorzy. Wybuchł też bunt w drugim mieście, we Witebsku. Jozafat objeżdżał całą diecezję, był we wszystkich miastach, lecz nigdzie nie znajdował posłuchu; wszędzie wołano głośno, że uznają tylko prawosławnego biskupa, wyznaczonego przez Teofana. W Witebsku pobito służbę Jozafata, a w Połocku przygotowywano zamach na niego. Wojewoda siłą zabierał jednak cerkwie i oddawał je unickim kapłanom. Wi-

tebszczanie wystawili pod miastem, na drugim brzegu Dźwiny, dwie nowe cerkwie dyzunickie. Zjeżdża tam ponownie św. Jozafat, ale kazania jego nie odnoszą już żadnego skutku. W ostatnim kazaniu, jakie mu danym było wygłosić, mówił wyraźnie, jako wie, że się zmawiają na niego; on jednak nie wyjedzie, bo pasterzowi nie godzi się uciekać.

Noc całą przeleżał krzyżem w modłach za unię i za swoich nieprzyjaciół, a co chwilę biczując się. Nazajutrz poszedł na jutrznię, jak zwykle. Wiedział, co go czeka, bo nawet uprzedzono o tym jego służbę, że będzie zabity w niedzielę 12 listopada (1623 r.). Być może, że zawiadomiono go o tym nie dla szyderstwa, lecz przez litość, żeby go skłonić do wyjazdu; on jednak pozostał i poszedł odprawić tę ostatnią swoją jutrznię. Kiedy miał wracać, wielka gromada, uzbrojona w siekiery, stała już między cerkwią a jego mieszkaniem. Dali mu przejść spokojnie, ale potem rzucili się za nim do jego domu, mordując służbę i obecnego tam archidiakona. Biskup wyszedł do nich na dziedziniec i odezwał się w te słowa: „Synaczkowie, dlaczego tak bijecie służbę moją? Jeżeli co macie do mnie, oto jestem w ręku waszym!“ Łagodność ta nie wstrzymała dziczy, jaką okazali się ci schyzmatycy. W jednej chwili otrzymał biskup dwa uderzenia; jedno ciężkim kołem, a drugie siekierą w głowę. Gdy upadł od tych ciosów, pastwiono się dalej nad powalonym, aż go któryś z tłumu dobił dwoma strzałami z rusznicy. Jeszcze to dzikusom nie wystarczało. Ciało, obciążone dużym kamieniem, zawleczono na brzeg Dźwiny i wrzucono w głęboki wir rzeki. Towarzyszyły temu i patrzały na to tysiące ludu, który zachowywał się milcząco i potem rozszedł się w milczeniu.

Dopiero po sześciu dniach powiodło się duchowieństwu unickiemu odnaleźć zwłoki męczennika, zaniesione

wodami Dźwiny daleko za miasto. Wystawiono je najpierw w głównej cerkwi w Witebsku i pod ochroną władz przeniesiono następnie procesjonalnie do katedry w Połocku. Beatyfikacja nastąpiła szybko, bo już w r. 1643, za papieża Urbana VIII; kanonizacja zaś w r. 1867 za Piusa IX. Po rewolucji bolszewickiej, żeby ochronić relikwie świętego od zbeszczeszczenia, wywieziono je w największej skrytości do Wiednia, do tamtejszego kościoła Bazylianów.

W tych latach młodszy od św. Jozafata o dwanaście lat św. Andrzej Bobola przebywał na nowo w Wilnie. Wyświęcony w r. 1622, został w dwa lata potem kaznodzieją przy tamtejszym kościele św. Kazimierza. Było to w rok po męczeństwie witebskim, gdy wstępował na kazalnicę drugi przyszły męczennik.

Znaleźli się i tacy, którzy palmy męczeńskiej szukali za oceanami. Pałając żądzą naśladowania św. Ksawerego, wyjechał do Indii Jezuita Jędrzej Rudomina. Był to szlachcic z Wileńszczyzny, który jadąc do ślubu, nagle, jakby tknięty powołaniem, zawrócił, i pojechał do... nowicjatu jezuickiego w Wilnie. Przebywał następnie w Rzymie i stamtąd wyprawił się śladem św. Ksawerego. W mieście Goa posługiwał w szpitalu, potem robił to samo w Makao i dalej w Chinach, gdzie przebył na misji pięć lat. „Karmił, uczył, cieszył, dysponował na śmierć, żebrał na nich“, na ubogich, zwłaszcza na chorych. Uległ niestety chorobie tamtych krajów, kwartanie, tj. gorączce febrycznej powracającej co czwarty dzień i oddał ducha Bogu w r. 1631.

Zachęcony przykładem Rudominy, chciał go nawet przewyższyć i marzył aż o Japonii inny kleryk jezuicki, Wojciech Męciński, szlachcic rodem z Osmolic pod Lublinem, urodzony w r. 1598. Ojciec jego, protestant, wznawiał katolickie wyznanie wiary w sam dzień przyjścia na świat syna. Był to pierwszy przedstawiciel medycyny mi-

syjnej; w uniwersytecie krakowskim studiował bowiem nie teologię, lecz medycynę. Zamożny, podróżował po Niemczech i Francji, a podróż włoską odbył w r. 1619 wraz z krewnym swym, biskupem poznańskim. W Rzymie wstąpił do nowicjatu u Jezuitów.

On, i Rudomina przedtem, spotkali się w Rzymie z rodaczką, słynącą ze świątobliwości i znaną całemu miastu. Była to Ludwina, drobna mieszczanka z Kęt, która od lat dziecinnych marzyła o pielgrzymce do Rzymu, aż po śmierci rodziców wybrała się do wiecznego miasta. Tu zaznajomiła się z inną Polką, pokutnicą, przebywającą już dawno w Rzymie, Bogumiłą ze Stradomia, z którą zamieszkała razem, pielęgnując rodaczkę aż do jej zgonu. Ludwina, utrzymując się z jałmużny, a którą dzieliła się z chorymi, przeżyła w Rzymie pełnych lat czterdzieści. Zmarła w r. 1623, a ponieważ umarła w opinii świętości, przyjęto jej zwłoki do polskiego kościoła św. Stanisława Kostki, gdzie spoczywają po lewej stronie ołtarza św. Jacka.

W tym właśnie roku wysłany był Wojciech Męciński do Polski na dokończenie nowicjatu w Krakowie i w Kaliszu. Swój własny, tudzież odziedziczony po śmierci brata majątek, zapisał krakowskiemu domowi Jezuitów, sam zaś wybrał się do Portugalii, żeby przywyknąć do gorętszego klimatu. Święcenia kapłańskie przyjmował w Lizbonie w r. 1628. Wtem szwagier jego podał przed sądami w wątpliwość zapis na rzecz Jezuitów w Krakowie. Przypuszczał, że Wojciech jest już w drodze do Japonii i prawdopodobnie nigdy nie powróci. Niespodzianie Wojciech zjawia się przed sądem. Każą mu udowadniać, że był pełnoletni gdy zapis czynił; a potem szwagier coś jeszcze wymyślił lepszego żądając, żeby się wykazał, czy jest naprawdę Wojciechem, a nie kimś podstawionym. Obroniwszy swój zapis, wraca wreszcie do Portugalii i wsiada na

żaglowiec (innych okrętów jeszcze nie było) w kwietniu 1631 r. Na statku wybuchła jakaś zaraza i szczęściem wiatry przeciwne zapędziły go z powrotem na portugalskie wybrzeże; można było przynajmniej leczyć się. Ksiądz Wojciech był taki słaby, iż trzeba było spuszczać go na linie z okrętu na łódź. Półtora roku słabował; jeszcze zimą r. 1633 nie mógł myśleć o ponownej podróży.

Równocześnie, w r. 1631 otrzymał św. Bobola stanowisko samodzielne, jako rektor klasztoru i szkoły w Bobrujsku, gdzie pozostawał przez sześć lat.

A chwała Boska i pożytek bliźnich zyskiwały nadto nowe narzędzia w zbożnej pracy w nowych zakonach, sprowadzanych do Polski za panowania Zygmunta III. W roku 1605 przybyli do Polski Karmelici Bosi i Karmelitanki w r. 1643. Od r. 1612 mamy w Polsce Bonifratrów, specjalistów szpitalników, pocieszycieli i opiekunów chorych.

Powstała też w tym czasie nowa gałąź zakonów reguły św. Franciszka. Wiemy, jak z Franciszkanów wyłonili się Bernardyni. Za Zygmunta III z Bernardynów powstali podobnież Reformaci. Znowu nowi zarzucali dawniejszym, że odstąpili od surowości reguły pierwotnej, do której oni pragną powrócić. Zaczęło się to w Wenecji pod koniec wieku XVI, a do Polski przeniósł ten ruch Bernardyn i następnie pierwszy nasz Reformata, Gabriel z Grodźca. Urodzony około r. 1560, więc jeszcze za Zygmunta Augusta, wyświęcony w r. 1587, przebywał następnie w Wiedniu, we Włoszech i na Węgrzech w licznych klasztorach, łącząc się wszędzie ze zwolennikami surowszego życia. Na Węgrzech wybrano go nawet prowincjałem klasztorów, „zreformowanych" (w latach 1592 — 1595). Potem bawił ponownie we Włoszech przez całych dziesięć lat i w r. 1605 wydał w Wenecji pismo, wzywające polskich

Bernardynów do reformy. Chociaż następnie przyjechał do Polski i agitował osobiście, nie miał szczęścia ze swoimi projektami. Nawet w Rzymie uważano, że naszym Bernardynom reforma nie potrzebna. Próbował założyć surowszy klasztor w Pińczowie, lecz po pewnym czasie musiał opuścić Polskę z gorliwszymi swymi zwolennikami. Założył klasztor na polskiej wprawdzie ziemi, lecz poza granicami państwa polskiego, w Gliwicach na Śląsku. W r. 1621 było tam 30 zakonników, w tym 16 Polaków. W dwa lata potem pozwolono im wprawdzie na osobny klasztor w Warszawie, lecz za miastem. Niebawem umarł Gabriel z Grodźca (1626), a Reformatom oporniej szły dalsze prace. Rozkwit ich nastąpił dopiero pod koniec wieku XVII.

O co chodziło w całej tej reformie? Dobrze było włoskim wizytatorom gorszyć się, gdy w celach bernardyńskich widzieli piece. Przyjeżdżał taki Włoch do nas latem, a zimy prawdziwej nigdy nie widział. Gorszyli się też włoscy zakonnicy, że kwestarze przyjmują u nas płody w stanie surowym, gdy tymczasem we Włoszech przyjmuje się jałmużną tylko gotowe potrawy. Co kraj to obyczaj. Nasi mogli byli zwrócić uwagę na coś bez porównania ważniejszego: że we Włoszech wygłaszano kazania tylko podczas wielkiego postu, a u nas przez cały rok co niedziela. Przypomnijmy sobie, jak już raz wojowano o „reformę", żeby np. ani monstrancje nie były z kruszcu szlachetnego, lecz koniecznie z drzewa. A teraz przeprowadzający reformę O. Leonard Starczewski w Bydgoszczy usunął wszystkie konie, woły, świnie, owce; kwestarzy odwołał bezzwłocznie, a zapasy znajdujące się w klasztorze, kazał posprzedawać. Pieniędzy przyjmować zabronił zupełnie, nawet na msze. Kwestę ograniczył do przedmiotów bezpośredniego użytku. Całkowicie usunął świecką służbę.

W celach zniósł wygodniejsze łóżka, w chórze brackim w kościele okna kazał pozawieszać zasłonami zielonymi.

Kiedy w Polsce poczęły wreszcie po długich sprzeciwach szerzyć się reformackie klasztory, nastawały tymczasem wypadki o wielkiej wadze historycznej.

Skorzystali na wojnie tureckiej Szwedzi. Tak się przez ten czas usadowili w Inflanciech, że już w nich zostali. Co więcej, posunęli się wzdłuż Bałtyku ku zachodowi, a porozumiawszy sie ze zdradzieckim lennikiem polskim, księciem pruskim, wtargnęli aż do Prus Królewskich. Pobił ich na głowę hetman Stanisław Koniecpolski w r. 1629 pod Trzcianą, i omal sam król szwedzki nie dostał się tam do niewoli. Ale kiedy jesienią r. 1629 zawierano rozejm sześcioletni, pozostało miasto Elbląg w ręku Szwedów.

Prosił król szwedzki o pokój, ale przyjmował chętnie i rozejm, bo chciał ruszyć do Niemiec, żeby tam stanąć na czele obozu protestanckiego. Odnosił tam świetne zwycięstwa, a chociaż on sam poległ w r. 1632, wodzowie jego utrzymywali nadal przewagę Szwecji w Niemczech. Przez jakiś czas prawdziwymi władcami Niemiec byli generałowie szwedzcy. A chociaż Gustaw Adolf nie miał syna, nie powołano na tron szwedzki po nim Zygmunta Wazę z Polski, lecz osadzono na tronie małoletnią córkę Gustawa, Krystynę.

Szczególnym zbiegiem okoliczności w tym samym roku, kiedy poległ Gustaw Adolf, zmarł też Zygmunt III w r. 1632.

Elekcja była tym razem najzupełniej tylko formalnością, gdyż starszy królewicz Władysław wybrany był jednomyślnie. Cała elekcja trwała zaledwie pół godziny.

Król Władysław IV był wielkim dzielnym rycerzem. Okazało się to zaraz na samym wstępie panowania. Nie minęły jeszcze wprawdzie lata rozejmu dywilińskiego, ale

w Moskwie jak na całym Wschodzie uważano, że umowa przestaje obowiązywać, gdy jedna ze stron umrze; tylko w cywilizacji łacińskiej umowa obowiązuje w zasadzie także dziedzica. Po zgonie więc Zygmunta III car urządził zaraz wielką wyprawę. Przez pięć miesięcy król własną osobą dawał przykład hartu i męstwa, ale też wojna skończyła się kapitulacją całej armii moskiewskiej pod Smoleńskiem na lewym brzegu Dniepru, po czym w maju 1634 r. zawarto w Polanowie już nie rozejm, lecz stały pokój. Moskwa zrzekła się wszelkich roszczeń do Inflant, a ziemie siewierską, czernihowską i smoleńską odstępowała już na stałe. Utwierdzały się więc najszersze granice państwa polskiego i litewskiego. Król Władysław IV zrzekał się za to tytułu carskiego.

Szkoda, że nie zrzekał się także tytułu króla szwedzkiego. Zawarł ze Szwecją w r. 1635 w Sztumie rozejm długi, bo aż na 26 lat, ale zawsze tylko rozejm, a nie pokój. Warunki były tego rodzaju, iż powinny były sprowadzić przyjaźń sąsiedzką. Szwecja zwracała wszystkie grody, zajęte w Prusiech za Zygmunta III, Inflanty zaś podzielono na część szwedzką i polsko-litewską. Bez dobycia więc oręża zyskiwało się bardzo dużo. Ale Władysław IV podobny był do ojca w sprawie tronu szwedzkiego. Nie chciał wyrzec się nadziei, że chociaż później, aż po 26 latach, stoczy jeszcze zwycięską wojnę o szwedzką koronę, jeżeli nie on sam, więc syn jego. On sam bardziej jednak marzył o zdobyciu Konstantynopola, niż Stokholmu.

Jeszcze nie skończyła się wojna moskiewska, gdy sułtan wypuścił znowu Tatarów, po czym sam osobiście wyruszył na Polskę z olbrzymią armią. Już w r. 1632 zapędził się jeden z wodzów tatarskich, Kantemir basza, aż pod Przemyśl. Wiemy, że w tamtejszym klasztorze Karmelitów Bosych przebywał O. Makary Demęzki. Ponieważ znał on

język tatarski, uprosiło go mieszczaństwo, żeby udał się do obozu Kantemira zaproponować mu, żeby miasta nie zdobywał, obiecując za to znaczny okup. Basza przyjął go, siedząc rozparty pod baldachimem, zrabowanym gdzieś w najezdniczym pochodzie i wysunął na powitanie nogę, każąc pocałować swój pantofel. Odmówił dawny rotmistrz a teraz zakonnik, odzywając się w te słowa: „Ten honor nikomu z ludzi się nie należy, oprócz namiestnika Chrystusowego". Rozzłoszczony Kantemir rąbnął go od razu szablą i kazał dobić swojej straży. W taki sposób dawny rotmistrz cara Samozwańca stał się męczennikiem na polskiej ziemi.

Król przeniósł się z nadzwyczajnym pośpiechem spod Smoleńska do Lwowa, żeby być w pobliżu walk. Gdy atoli hetman Stanisław Koniecpolski pobił Tatarów pod Sasowym Rogiem i Turków pod Paniowcami, sułtan zawierał pospiesznie pokój w r. 1634. Myśl króla zajęta jednak była nadal planami, jak wyzwolić od półksiężyca półwysep bałkański. Przede wszystkim trzeba by jednak poskromić Tatarów. Czyż nie zrobiłoby się ich nieszkodliwymi, gdyby ich nawrócić?

Myśl ta nie była obcą zakonom polskim, a zwłaszcza Dominikanom. Ognisko misyjne założyli sobie w mieście Kaffa nad Morzem Czarnym. Było to stare miasto handlowe, zaludnione w znacznej części przez kupców chrześcijańskich, lecz pozostające pod panowaniem tatarskim. Wsławił się tam Tymoteusz Mąkolnicki, szlachcic spod Dąbrowicy, bardzo przedsiębiorczy. Wstąpiwszy do Dominikanów, zabrał się do nauki języka żydowskiego, bo chciał się poświęcić misjom wśród żydów. Potem atoli wybrał się do Tatarów, wziąwszy z sobą braciszka Aleksego, krawca. W K ffie on pierwszy urządził procesję różańcową. Zmarł w r. 1637, a braciszek Aleksy zaraz nazajutrz po nim. Na

jego miejsce zgłosił się do Kaffy profesor uniwersytetu krakowskiego, Rajmund Charczewski, który podczas pobytu w Rzymie wstąpił do Dominikanów. Ten żył w Kaffie aż do r. 1659, a nawrócił wiele ułusów tatarskich w okolicy.

Szczegóły te świadczą, jak w społeczeństwie polskim pamiętano jednak o Morzu Czarnym.

Najodważniejszy z polskich misjonarzy wśród pogan, Męciński, po przebytej długiej chorobie, wsiadł powtórnie na okręt z wiosną 1633 r. i popłynął w sierpniu do Goa. W dalszej okolicy tego miasta rozpoczął swą działalność misjonarską, nawróconym nadając na chrzcie imiona świętych polskich. W r. 1634 udał się do Malabaru i następnie na Malakkę. Wszędzie brał pod swą opiekę chorych, urządzając szpitale, gdzie tylko się dało; przydała mu się medycyna krakowska. Z końcem czerwca postanowił ruszyć dalej, żeby się zbliżyć do wymarzonej od dzieciństwa niemal Japonii. Oddzielały go Chiny, z którymi chciał się po drodze zapoznać. Toczyła się atoli wówczas wojna morska o kolonie pomiędzy Portugalią i Holandią. O. Męciński dostał się do niewoli holenderskiej, kiedy dopływał już do chińskiego portu Makao. Dopiero po siedmiu miesiącach udało mu się wydostać i wsiąść po kryjomu na okręt portugalski w Turanie, mieście portowym w Kochinchinie, skąd dotarł do Makao. Przełożeni wysłali go jednak nie do Japonii, lecz do Kambodży, i dopiero później po wielu przeszkodach i zwłokach stanął na ziemi japońskiej. A był wtenczas nawet sam pobyt w tym kraju chrześcijanom surowo zakazany, a cóż dopiero kapłanom. Złapany, znowu więziony przez siedem miesięcy, torturowany był najokrutniejszymi sposobami. Mógłby był uwolnić się jednym słowem, na które czekano: żeby się zaparł Chrystusa. Pod koniec spuszczono go

głową w dół, do dołu wypełnionego nieczystościami i tak wisząc przez cały tydzień, oddał ducha Bogu dn. 23 marca 1643 r. Trzech innych misjonarzy męczyło się przez dziesięć dni. Ciała ich poćwiartowane spalono, a popioły wrzucono do morza. O beatyfikację polskiego męczennika robiono starania w ostatnich latach XVII wieku, lecz przerwane wówczas, teraz dopiero mają być wznowione.

Tymczasem św. Andrzej Bobola odprawiał misje między Poleszukami, a tak pomyślnie, iż go popi nazywali „duszochwatem". Podróżował po błotach i roztopach Polesia; główną kwaterę miał tam w Janowie.

Odznaczali się Jezuici na wszystkich polach życia kościelnego, niczego nie zaniedbując. Czasem budziły się wątpliwości, czy to jednak dobrze zajmować się wszystkim? Powstawały zakony ograniczające się do pewnej specjalności, jak np. Bonifratrzy do szpitalnictwa. Drugim takim przykładem stali się Pijarzy, którzy do trzech powszechnych ślubów zakonnych dodawali swój czwarty: że będą do śmierci nauczać i to bezpłatnie. Szkoły zakładali Jezuici także, a Pijarzy mieli nie robić nic innego, jak tylko nauczać. Powstał specjalny zakon nauczycielski, zakon „szkół pobożnych", po łacinie: scholarum piarum, z czego nazwa Pijarów. Kolebka ich również w Hiszpanii, a założycielem był św. Józef Kalasanty (1556—1648, żył więc lat 92). Król sam zabiegał, żeby ich sprowadzić, do Polski. Przybyło ich do Warszawy w r. 1642 trzynastu z Rzymu, a między nimi jeden Polak, Kazimierz Rogatko. Królewski przykład naśladował od razu wojewoda krakowski Stanisław Lubomirski, będący zarazem starostą spiskim i fundował im klasztor w Podolińcu na Spiszu. Wielkiej sławy nabyły szkoły podolinieckie, i powstało z czasem kilka ich odgałęzień, bo wiele miast

ubiegało się o Pijarów i tak wytworzyły się gimnazja pijarskie [1]).

Wzmagało się w Polsce coraz mocniej życie publiczne katolickie, zwłaszcza że na czele tego ruchu stał ciągle tron. Władysław IV obejmował swym umysłem wszystko, od szkół aż do spraw wielkiej polityki, do spraw pokoju i wojny. A wszystko miało być pobożne, z celem religijnym zarazem. Celem polityki królewskiej odzyskanie dla Kościoła Bałkanu, a cel ten popierał gorliwie naród polski.

Do tej wojny przygotowywała się Polska zawsze, nieustannie. Przygotowywania musiały się odbywać systematycznie a ostrożnie. Już wreszcie król zaczął przystępować do zawierania sojuszów. Miał już przymierze wojenne z największą ówczesną potęgą morską, Wenecją (która posiadała wyspę Kretę na południe od Turcji) i zaczynał zbierać znaczne zaciągi wojskowe. Ale na tureckich przedsięwzięciach Polski ciążyło dziwne nieszczęście. Warneńczyk poległ, Batory umarł, gdy zwoływał sejm dla tej sprawy; i tak samo zmarł Władysław IV, gdy już kazał pierwszym zaciągom wyruszać w pole w r. 1648.

Tego samego roku skończyła się nareszcie wojna 30-letnia w Niemczech. Zawarto pokój zwany westfalskim (w Westfalii). Godne uwagi są główne warunki tego pokoju.

Usadowiło się w Niemczech panowanie szwedzkie. Przyłączono do królestwa szwedzkiego Pomorze zachodnie z wyspą Rugią i ujściem Odry, oddano Szwedom twierdzę Wismar w Meklemburgii i nadto dwa sekularyzowane biskupstwa. A z niemieckich książąt zrobił na tej wojnie kapitalny interes dom brandenburskich Hohenzollernów:

---

[1]) Najdalej ku zachodowi posunięte było w mieście Skalicy; tam studiował mój ojciec, śp. Józef, którego zacna pamięć niechaj będzie tą wzmianką uczczona.

dostali drugą część zachodniego Pomorza, sekularyzowano dla nich cztery biskupstwa. Kilku innych książąt protestanckich obłowiło się także skasowanymi biskupstwami. Z katolickich najwięcej zyskał książę bawarski, bo przypadł mu nad Renem spadek po „królu zimowym“. Wszystkim książętom przyznano prawo całkowitej udzielności i odtąd każdemu z nich wolno było uprawiać na własną rękę nawet zagraniczną politykę, prowadzić wojny i zawierać przymierza według własnego uznania. Władza cesarska spadła znowu do zera.

W sprawach wyznaniowych utwierdził pokój westfalski, że „czyj kraj, tego też religia“. Jeżeli panujący książę zmieniał wyznanie, miał prawo nakazać to samo swym poddanym. Toteż wojna 30-letnia jest plamą w historii Niemiec, a pokój westfalski hańbą cywilizacji.

Pokój ten stanowi tryumf kierunku bizantyńskiego w Niemczech. Jak w schyzmie bizantyńskiej, zredukowano religię do rzędu narzędzia politycznego. Najboleśniejszym jest to, że nawet katoliccy książęta niemieccy poszli na lep poglądu bizantyńskiego, jakoby należało prześladowaniem pozbywać się innowierców tam, gdzie władzę dzierżą katolicy. Wypadnie nam jeszcze wracać do tej kwestii.

22. „POTOP".

Trwały nadal jeszcze granice najszersze i wielka potęga militarna; lecz przygotowywały się już wypadki, które miały pogrążyć nas w długi a ciągły stan wojenny, czego wytrzymanie samo i przetrzymanie świadczyło już o tężyźnie narodu, lecz w końcu musiało osłabić siły społeczne, a te rozstrzygają o sile politycznej. W sam raz, kiedy Niemcy kończyły wojnę trzydziestoletnią, zaczęły się u nas wojny tak zabójcze dla państwa i narodu, iż opisujący je w powieści Henryk Sienkiewicz dał jej tytuł „Potop", a nazwa ta przyjęła się powszechnie, jako nader trafna. Skurczyły się też w owym potopie granice państwa polskiego.

A zaczęła się ta groza jeszcze za Władysława IV w ostatnim właśnie roku jego panowania.

Początkiem były wojny kozackie. Nazwa kozaków pochodzi z języka tatarskiego, a najstarsi kozacy byli już u tych Mongołów, którzy w XIII wieku zniszczyli Ruś, Węgry i Polskę swymi najazdami. Kiedy dżingishanowie zakładali olbrzymie państwo uniwersalne od Chin aż po Moskwę, musieli trzymać w ostrym rygorze plemiona, z których składały się ich wojska. Kto nie chciał się tym

porządkom poddać, kto wolał koczować sobie swobodnie po staremu, taki zbiegał na daleki (dla Mongołów) zachód na stepy pomiędzy dwiema wielkimi rzekami, od dolnej Wołgi po Don. Później część tej kozackiej ludności najmowała się Wielkim książętom moskiewskim, jako ich wojsko stałe. Z czasem rozległe krainy nadawano kozakom z warunkiem ciągłego pogotowia wojennego. Najstarsi byli kozacy rjazańscy, bo już w XIV wieku; sławni Dońcy (kozacy dońscy znad Donu) są znacznie młodsi. Służąc z ojca na syna, przyjęli prawosławie, a po dłuższym czasie także język moskiewski (rosyjski), a rozmnożeni wielce, stali się jakby osobną warstwą społeczną w Moskwie i na Rusi. Wytworzyła się z nich doskonała jazda lekko-zbrojna

Mijały pokolenia, kozacy zruszczyli się całkowicie i zaginęła też tradycja ich pochodzenia. Powodziło im się dobrze; Wielcy książęta moskiewscy, a potem carowie, opiekowali się bardzo warstwą dostarczającą im najlepszego żołnierza. Toteż przechodziło do kozaków niemało rodowitej Rusi, a panujący tamtejsi zaludniali chętnie ziemie puste coraz nowymi kozakami. Oni sami rozszerzali się coraz dalej na zachód, ze stepów nad Donem na stepy nad Dnieprem. W ten sposób weszli na południową część Rusi litewskiej. Nad Dnieprem przyciągała do nich rozmaita mieszanina z Węgier i Wołoszy, z Litwy a nawet z Polski. Niejeden szlachcic, przeskrobawszy coś w Polsce i mając nieporozumienia ze sądami, uciekał do kozaków i tam przerabiał się na prawosławnego. Nie brak było przybyszów wcale nie zbiegów, ludzi najporządniejszych, ale nie lubiących skrępowanego życia wśród współobywateli, nie chcących się poddawać ustalonemu porządkowi życia. Takich prawdziwych „kozaków“ nie braknie nigdy i nigdzie. Nęciła ich do kozaczyzny zupełna swoboda, nie

krępowana niczym, bo tam na dalekich a rozległych stepach właściwie nikt nie panował.

Utrzymywali się głównie z wypraw na mniejsze oddziały tatarskie, biorące udział w najeździe na Ruś i Polskę, gdy wracały z łupem. Kozacy napadali na nich, łupy odbierali i niejeden zbierał z tego znaczne dostatki. Te stepowe utarczki nabrały rozgłosu i ściągały coraz więcej ochotników do kozaczyzny. Zorganizowali się zupełnie po wojskowemu, i z czasem wytworzyła się nad południowym Dnieprem cała armia, zupełnie niepodległa. Uznawali niby zwierzchnictwo Polski, bo to było w granicach polskiego państwa, ale z tego niby zwierzchnictwa powstawały tylko kłopoty. Ilekroć samowolna ta zbrojna społeczność naruszyła granice tureckie, zawsze sułtan miał pretensje, że Polska zrywa rozejm, skoro nie trzyma kozaków na wodzy. A kozactwo rosło coraz bardziej w liczbę.

Wytwarzała się liczna społeczność z odrębną zupełnie cywilizacją obozową. Na wielką skalę rozwinęła się taka cywilizacja niegdyś u Mongołów, jako turańska. Na jej wzór powstała państwowość moskiewska, a od XV wieku aż do początku XVIII rozwijała się oddzielna kultura moskiewska, stanowiąca gałąź azjatyckiej cywilizacji turańskiej. Kozaczyzna była na małą skalę odbiciem dawnej obozowej cywilizacji mongolskiej i następnie tatarskiej, od której się wywodzi historycznie; należy przeto do zakresu turańskiej cywilizacji.

Urządzali się kozacy obozowo, po wojennemu, bo żyli z wojowania. Już Zygmunt Stary wziął ich dwa tysiące na stały żołd państwa polskiego. Byli spisani na liście, czyli rejestrze wojskowym. Stąd zwani „rejestrowymi". Stały zarobek, utrzymanie bez troski nęciły ludzi wschodnich, dla których życie obozowe było ideałem życia. Jeszcze za Zygmuntowskich czasów nazbierało się ich kilkanaście

tysięcy, a król Stefan Batory przyjmował stopniowo wszystkich na żołd polski. Miałaby Polska w ten sposób stałą armię na tamtych kresach, a przydatną do wojen tureckich. Ale też odtąd ludność ruska tysiącami zbiegała z roli do kozaczyzny; chociaż „rejestr" ciągle podwyższano, przybywało drugie i trzecie tyle „nierejestrowych", a niesposób było wszystkich wziąć na „rejestr", tj. płacić wszystkim żołd stały.

Rejestrowi znali posłuch wojskowy, a mając z czego żyć, siedzieli cicho, czekając, aż otrzymają z Warszawy rozkaz, żeby wyruszyć. Ale nierejestrowi, a tych było coraz więcej — stanowili coraz większy kłopot. Próbowano rozwiązać ich organizację, lecz na próżno. Wtem zaświtała im nadzieja, że wszyscy staną się „rejestrowymi". Król Władysław IV, nosząc się z zamiarami wielkiej wojny tureckiej, podwoił rejestr z 6.000 na 12.000. Zgłosiło się aż cztery razy tyle, bo 24.000. Wziął ich król wszystkich, a widocznym było, że mógłby ich mieć nie tylko 30.000, ale choćby 60.000. Było to królowi na rękę, bo postanowił już pochód na Krym, żeby zdobyć najpierw to gniazdo tatarskie. Wezwał król tedy przywódców kozackich do Warszawy na naradę. Jeden z nich, Bohdan Chmielnicki (pochodzący ze szlachty mazowieckiej) zdradził te plany hanowi krymskiemu, a han dał znać sułtanowi.

A miała Polska w Konstantynopolu wroga o wiele zawziętszego od wszystkich sułtanów. Był nim patriarcha prawosławny. Wiemy, że już za Zygmunta III rozsyłali ci patriarchowie agentów, organizujących bunty dyzunitów przeciw unii brzeskiej. W roku zaś 1647 namówił dwór patriarszy sułtana, by objął niejako protektorat nad prawosławiem w państwie polskim. I stanęła umowa: Patriarchat wznieci przez swych agentów na Rusi południowej wojnę religijną prawosławnych z katolikami (rzymskimi

i unitami), w kozaków zaś wmówi się, że mają bronić prawosławia (przeciwko unii brzeskiej). Przywództwo i wykonanie buntu oddaje się Chmielnickiemu, którego zrobi się za to księciem panującym na Ukrainie pod zwierzchnictwem sułtańskim.

Całkiem niespodzianie wybuchł bunt kozacki i zaraz przypędziło pospiesznie kilkanaście tysięcy Tatarów na pomoc Chmielnickiemu. Na całej zaś Ukrainie obwieszczono, że każdy prawosławny musi się zaciągnąć pod chorągwie Chmielnickiego, bo inaczej będzie oddany w jasyr. Po tej groźbie wzrosły siły buntownika od razu do stu tysięcy.

Wtedy właśnie śmierć zabrała króla Władysława IV. Podczas bezkrólewia bunt się rozwija. Ażeby wyżywić tłum stutysięczny, musiał Chmielnicki ruszyć naprzód w kraje lepiej zagospodarowane. Dotarł pod Lwów. Gdy się zbliżał, starano się ewakuować ludność niezdatną do obrony, tym bardziej, że należało przewidywać oblężenie, a zatem zależało też na tym, żeby mieć mniej ludności do przeżywienia.

Władza duchowna przystąpiła przede wszystkim do ewakuowania klasztorów żeńskich. Jeden z nich wymaga osobnej wzmianki, a mianowicie klasztor Karmelitanek Bosych. Przełożoną jego była Teresa Marchocka, pochodząca z zamożnej szlacheckiej rodziny w województwie krakowskim, która majątek swój cały włożyła w fundacje trzech klasztorów Karmelitanek Bosych, w Krakowie, we Lwowie i w Warszawie. Najpierw była w Krakowie i już wtedy spadła na nią ta łaska rzadka, a w Polsce zdaje się przedtem nie widywana, iż stała się stygmatyczką tj. że pięć ran Chrystusa Pana nawiedziło jej ciało, bez żadnej zewnętrznej przyczyny. Z początku tylko je odczuwała, po jakimś czasie miała na sobie rany rzeczywiste. Nazy-

wała to „sukienką św. Franciszka Serafickiego". Miała wielkie nabożeństwo do św. Franciszka z Assyżu, który był pierwszym stygmatykiem, i uważała, że jego wstawiennictwu tę łaskę zawdzięcza. Sama o tym wyrzekła te słowa:

„Mam całą sukienkę św. Franciszka na sobie, bo te piętna nie tylko w nogach, ale też w rękach i w boku czuję. Prosiłam bowiem św. Ojca Franciszka, aby mi też użyczył ran swoich do cierpienia dla miłości ukrzyżowanego Chrystusa, i otrzymałam z łaski jego, któregom ja ubóstwo i pokorę od młodości mojej zawsze kochała. A chociaż mi boleść nieznośnie dokuczała na ciele, bo od okrutnej męki prawie ustawałam na siłach, rozumiejąc, że już umieram, dlaczegom serdecznie wołała do Pana: O Jezu mój najłaskawszy, już Ci dalej znosić nie mogę, weź proszę duszę moją do siebie i niech tak kończę żywot na krzyżu Twoim; jednak na duszy czułam niewymowną pociechę, bo zaraz przystąpił św. Franciszek, ciesząc mnie i mówił: Nie umrzesz jeszcze, trzeba, żebyś dłużej cierpiała; którymi słowami pocieszona i umocniona zostawałam, poddając się „woli Boskiej". Przez pewien czas nie sypiała niemal nic i nie przyjmowała żadnych pokarmów, żyła samą tylko Hostią świętą.

W r. 1641 wysłano ją do Lwowa na „nową fundację" kosztem już nie samym własnym, bo już nic nie miała, lecz dzięki Teofili Sobieskiej, kasztelanowej krakowskiej, matki Jana, późniejszego hetmana i w końcu króla. Przez siedem lat przebywała już we Lwowie, gdy miasto zagrożone zostało najazdem Chmielnickiego. I wtenczas ta stygmatyczka, chora niemal bezustannie, znalazła na tyle sił, iż zajęła się ewakuacją klasztoru i zakonnic, wozami i końmi, sama nawet pakowała i szczęśliwie uszła i taką okazywała przytomność umysłu, iż o dziewięć mil od Lwowa zmyliła patrol kozacki. Z pomocą Bożą przebywszy ciężką

przeprawę przez San pod Jarosławiem, dotarły wreszcie do Krakowa. Tu przez pół roku korzystały z gościnności krakowskich sióstr, po czym część ich z matką Marchocką przeniosła się do Warszawy, gdzie z łaski królowej i kanclerza koronnego Jerzego Ossolińskiego powstawał dla nich nowy klasztor.

Tymczasem we Lwowie korzystano z ufortyfikowanego klasztoru bernardyńskiego, dokąd schroniły się tysiące rodzin mieszczańskich. Lwowianie zanosili gorące modły do bł. Jana z Dukli, jako patrona swego miasta. Gdy ostatecznie powiodło się wykupić od rabunku, złożywszy kozakom i Tatarom dwieście tysięcy talarów okupu, było to bądź co bądź ocaleniem w porównaniu z tym, co byłoby się działo, gdyby oblęgający wkroczyli do miasta. Miasto wyraziło wdzięczność swemu patronowi, fundując w następnym roku do kościoła bernardyńskiego tablicę srebrną z wyobrażeniem figury bł. Jana z Dukli.

Chmielnicki ruszył dalej i stanął pod Zamościem. Tam doszła go wiadomość o wyborze na tron po Władysławie IV jego brata młodszego, Jana Kazimierza. Był to dzielny rycerz i wódz znakomity. Na jego żądanie cofnął się Chmielnicki na Ukrainę. Wjeżdżającego do Kijowa witał tam prawosławny patriarcha tytularny jerozolimski, jako księcia Rusi. Ale teraz był Chmielnicki bity przez wojsko królewskie raz po raz. Przybywali mu na nowo z pomocą Tatarzy, a gdy znowu pogrożono jasyrem, hufce jego wzrosły do 260.000 głów. Sami Kozacy stanowili już ledwie piątą część tych tłumów, pośród rozmaitej czerni zbiegającej się zewsząd dla ratunku. Tłuszczy tej stawiło czoło pod Zbarażem 15.000 wojska polskiego, a dopiero, gdy nadciągnęło jeszcze sto tysięcy Tatarów, zawahały się losy wojny 1649 roku.

Dość długo obozował król następnie w Zborowie

i z tego czasu dochowała się piękna legenda, że równocześnie w Warszawie modliła się świątobliwa Marchocka o powodzenie królewskie, a tejże godziny król w obozie miał widzenie Matki Teresy, zapewniającej go, żeby się nie obawiał niczego.

Tam w Zborowie zawarto z Chmielnickim ugodę. Polacy pragnęli zgody i ofiarowali Kozakom warunki świetne, bo wszystkim rejestrowym przyznano prawa szlachty polskiej, powiększając zarazem rejestr aż do 40.000. Ażeby zaś usunąć całkowicie nawet pozory do jakiejś wojny religijnej o prawosławie, postanowiono, że tylko prawosławni mogą być urzędnikami w trzech województwach ukrainnych tj. w kijowskim, czernihowskim i bracławskim.

Ale kozactwa było dwa razy tyle pod bronią, niż można było przyjąć ich na żołd „w rejestr". Zwróciły się więc teraz te zbrojne rzesze przeciw Chmielnickiemu i zmusiły go do zerwania ugody. On sam wolał też nową wojnę, marząc o tym, że zostanie księciem kijowskim. Zdawało się, że sprawę całą rozstrzygnęła wielka bitwa pod Beresteczkiem w r. 1651, trwająca trzy dni, pod osobistym dowództwem Jana Kazimierza. Sam król dowodził środkiem armii, lewym skrzydłem książę Jeremi Wiśniowiecki, który też rozstrzygnął bitwę w ostatnim dniu, a na prawym skrzydle odznaczył się Stefan Czarniecki. Tam też szli do szturmu dwaj bracia Sobiescy, Marek i Jan, późniejszy hetman i król. Wielkie zwycięstwo broni polskiej zrozumiano w całej Europie, jako ocalenie cywilizacji łacińskiej od turańskiej dziczy i od islamu. Obchodzono je uroczyście w Wiedniu, w Rzymie i w Paryżu.

Tu przerwiemy na chwilę nasze wojenne opowiadania, ażeby zaznaczyć, że tegoż roku 1651 wzbogaciło się życie religijne w Polsce nowym zakonem, Misjonarzy. Założycielem był jeden z wielkich świętych historii powszechnej,

którego cześć znaną jest w Polsce każdemu dziecku: św. Wincenty a Paulo, Francuz z prowincji Gaskonii, urodzony w r. 1576. Okazywał od młodości wielkie zajęcie do wszelkich misji wewnętrznych. Został powołany na jednego z kapelanów na dwór królewski, potem miewał probostwa w dobrach arystokracji, lecz pełen zawsze największej skromności myślał tylko o tym, jakby swe wysokie znajomości wyzyskać dla dzieł miłosierdzia. Trzymał się zasady, że nie na wiele zdadzą się najlepsze kazania ludziom biednym, głodnym i obdartym. W r. 1624 założył w Paryżu przy parafii św. Łazarza kongregację nazwaną od tego miejsca Łazarystami, której specjalnością stała się piecza nad zaniedbaną dziatwą i opieka nad ubogimi nie żebrzącymi, a zwłaszcza chorymi. W roku następnym obmyślił pomocniczą kongregację niewieścią Sióstr Miłosierdzia, zwaną u nas z francuska Szarytkami, od których żąda się ślubów tylko na trzy lata, a które one odnawiają niemal zawsze do końca życia. Św. Wincenty a Paulo zmarł w r. 1660, kanonizowany 1737.

Jeszcze za życia swego świętego twórcy rozszerzył się nowy zakon na Polskę. W Paryżu znalazł się Polak, Kazimierz Żelazowski, który wstąpił pomiędzy uczniów św. Wincentego, a w r. 1651 wracał do Polski, jako kleryk, w towarzystwie trzech francuskich kapłanów. Osiedli najpierw w Warszawie i mieli zaraz pełne ręce roboty w tych czasach wojennych. W Polsce zwano ich zawsze Misjonarzami, a biskupi powierzali im kierownictwo diecezjalnych seminariów duchownych.

Lecz wracajmy do Chmielnickiego. Po takiej walnej klęsce, jaką mu zadano pod Beresteczkiem, nadano mu godność królewskiego hetmana nad 20.000 „rejestrowych" — ale on chciał być księciem panującym! Gdy Kijów zawiódł, próbował w r. 1652 zdobyć dla siebie Mol-

dawy, ale próba się nie udała, a zraził sobie tym sułtana, który odwołał Tatarów.

Wtedy znalazł sobie Chmielnicki opiekuna w carze moskiewskim. W r. 1654 w Perejasławiu poddał carowi całą Ukrainę, sądząc, że car zrobi go księciem pod swoją opieką. Ale car zagarniał Ukrainę tylko dla siebie, a wojsko kozackie wyprawił na północ, żeby wraz z armią moskiewską zdobywali Litwę. Jakoż zajęli Moskale Smoleńsk, a w r. 1655 nawet Wilno.

Teraz zaczęło się męczennictwo zakonu Jezuitów. Ze Smoleńska uciekłszy, musieli się tułać długo, wymijając postoje wrogich wojsk. W Połocku zbeszczeszczono kościoły, a w Nowogródku dwóch księży poraniono, jednego zabito. Przez dwa lata trwały te prześladowania od wojsk moskiewskich: Jezuici stracili wówczas 40 swoich zakonników. Św. Andrzej Bobola przebywał wówczas dalej na południu w nowym klasztorze w Pińsku, na razie jeszcze bezpieczny, lecz nie na długo.

Wszystkie prowincje, w których odbywały się te wojny kozackie, tatarskie i moskiewskie, zamieniały się w ruiny. Zwłaszcza zaś spadła katastrofa na klasztory katolickie. Samych bernardyńskich poszło z dymem czternaście, a siedemdziesięciu zakonników poniosło śmierć. Mówiono, że spalonymi klasztorami i trupami zakonników poznaczona jest droga kozacka. I podczas oblężenia Zbaraża (które tak wspaniale opisał Sienkiewicz) zastrzelony został z łuku tatarskiego Bernardyn O. Franciszek Ząbkowski. A kiedy Moskale zajmowali Smoleńsk, wzywał car moskiewski Aleksy Bernardynów i Dominikanów tamtejszych, żeby zostali. Bernardyni woleli wyjechać, a Dominikanie zostawszy, dostali się do więzienia. Na samej Litwie spalono siedem klasztorów, a zabito dziesięciu kapłanów. Słusznie też pisał arcybiskup lwowski Krosnowski, że ta prowincja

zakonna „dla Boga i za prawdę codziennie męki i konania znosząc, zakonowi serafickiemu wielki zaszczyt przynosi i walcząc na chwałę Bożą aż do krwi przelania, zasługuje na szkarłatny wieniec w niebie".

Od miecza i pożogi wolną była dotychczas przynajmniej zachodnia część królestwa polskiego. Lecz przyszła i na nią kolej. „Potop" miał zalać całą Polskę, a to, co się działo dotychczas, było dopiero połową nieszczęść.

Z kłopotów polskich postanowił skorzystać nasz lennik pruski. Księstwo pruskie przez następstwa spadkowe, a przez nieopatrzną politykę polską połączone już było w ręku Hohenzollernów z Brandenburgią i rządzone było z Berlina: Elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm porozumiał się z powinowatym sobie (bo urodzonym z księżniczki brandenburskiej) Bogusławem Radziwiłłem, największym magnatem na Litwie — i ci obydwaj zmówili się z królem szwedzkim, Karolem Gustawem. Ponieważ Jan Kazimierz także nie zrzekał się tytułu króla Szwecji, chętnie skorzystano ze sposobności, żeby go wojną zmusić do tego. Lecz ofiarowano Szwedom więcej, znacznie więcej.

Stanęła natenczas umowa o rozbiór Polski. Radziwiłł miał zostać Wielkim księciem Litwy pod zwierzchnictwem Szwecji. Szwecja miała zabrać Prusy Królewskie, tj. Pomorze gdańskie. Fryderyk Wilhelm uznał Prusy Książęce lennem korony szwedzkiej, ale miał dostać cztery województwa wielkopolskie, położone pomiędzy Brandenburgią a Prusami: województwa kaliskie, poznańskie, gnieźnieńskie, inowrocławskie.

Latem roku 1655 zajęło wojsko szwedzkie całą niemal Polskę, nie spodziewając się najazdu z tej strony, zajętą wojną z Moskwą i Chmielnickim. Król Jan Kazimierz schronił się wtedy na Śląsk.

Szwedzi łupili kraj z całych sił. W Poznaniu trafili

na świątobliwego biskupa sufragana Macieja Kurskiego. On pierwszy przekonał ich, jak dalece się mylili, jeżeli sądzili, że tym razem w łączności z dyzunitami zgnębią katolicyzm w Polsce, a popierani przez resztę protestantów (bo tak było) uczynią z Polski obóz warowny przeciwko Kościołowi. Ale wkrótce mieli się zdziwić jeszcze bardziej.

Mieli całe królestwo polskie w swym ręku, prócz jednej drobnej forteczki, Częstochowy. Słusznie nazywali ją „kurnikiem", bo doprawdy na zdobycie warownego klasztoru Paulinów na Jasnej Górze powinien był wystarczyć według ludzkiego rozumu jeden oddział żołnierzy i jeden dzień czasu. Byliby może nie fatygowali się o taki „kurnik", gdyby nie to, że w klasztorze był sławny skarbiec. Ale zaczęły się tam dziać cudy i generałowie szwedzcy nie mogli dać rady... komu? Mnichowi, przeorowi Kordeckiemu! Ale był to dowódca godzien łask Maryi, mąż takiej świętości, iż dziwić się trzeba i bardzo dziwić, że jeszcze nie podjęto starań o jego kanonizację. Świętość tego męża stwierdziła Najśw. Panna, skoro takiej cudownej udzieliła mu pomocy, iż nie tylko Szwedzi musieli spod Częstochowy uciekać, ale skutkiem tego nadspodziewanego wydarzenia nie dającego się nijako objąć samym tylko rozumem, otworzyły się oczy narodowi.

Porwał się cały naród, zmieniony nie do poznania. Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny, zawiązuje dla obrony króla konfederację w Tyszowcach. Kilka tylko miesięcy przebywał Jan Kazimierz na Śląsku. Wraca, wszyscy garną się do niego, a na czele staje wielki wódz Stefan Czarniecki. Nie był wcale hetmanem, ale w nim znalazła prawdziwie ciąg dalszy owa święta hetmańskość po Żółkiewskim.

Gdy odnawiał spalone przez Szwedów kościoły poznański biskup Kurski, a gwardian bernardyński ze spalo-

nego przez Moskali Mińska, z drugiego więc końca państwa, płomiennymi kazaniami nawoływał to tu, to tam, żeby pospieszać do pułków Czarnieckiego — sam Czarniecki przerzucał się z województwa do województwa, walcząc dziś ze Szwedami, jutro z Moskalami, za tydzień z wiarołomnym księciem pruskim. W jednym miesiącu potrafił bić się i na Ukrainie i nad Wartą.

Nieszczęściom i męczeństwom nie było końca. Czując się zagrożonymi, stawali się Szwedzi tym okrutniejszymi, a Litwa pozostawała wciąż jeszcze w ręku moskiewskim. Jeszcze miało paść ofiarą innych bernardyńskich klasztorów 17, a męczenników pomordowanych 18, zanim Czarniecki kraj jako tako mógł oczyścić z najazdu. A jak się znęcali, okazuje przykład męczeństwa Reformaty Epifaniego Wołka z Podgórza w czerwcu roku 1657: „Od Szwedów pojmany, wiele szyderstwa i urągania dla imienia Chrystusowego od nich ponosił; na ostatek do pala przywiązanemu na głowie jego proch wojenny zapalono z niewymowną jego boleścią, co dla Chrystusa cierniem koronowanego mężnie wycierpiał i w tych bólach nieznośnych szczęśliwie skonał".

Wtem przybył wróg jeszcze jeden. Nastąpił straszny najazd księcia siedmiogrodzkiego z Węgier, Rakoczego, którego wojsko 60-tysięczne pozostawiło po sobie pamięć dzikich hord rozbójniczych. Pomagał on już przedtem Szwedom w wojnie 30-letniej w Niemczech, i teraz przyzwał go do Polski Karol Gustaw. Miał za swe posiłki dostać Pokucie i Ruś Czerwoną dla siebie. Plany rozbioru Polski postępowały coraz dalej. Ale postępowała też obrona narodu. Dzielny Czarniecki odnosił coraz świetniejsze zwycięstwa, dawał radę i Rakoczemu, a Szwedów gonił aż do Danii, z którą zawarto przymierze przeciw Szwecji.

Tam nadmorską twierdzę Goldyngę zdobył w ten sposób, że kazał kulbaki pozdejmować z koni, siadać jeźdźcom

na łodzie, a konie trzymać za uzdy i przeprawił takim sposobem dwie chorągwie na drugą stronę zatoki. Powtórzyło się coś podobnego na wyspie Alzen, którą Szwedzi również musieli opuścić.

Poczuwszy zmianę „wiatru", książę pruski i wielki elektor brandenburski ofiarował teraz Polsce przymierze przeciw Szwedom w zamian za to, żeby księstwo pruskie zwolnić z lennictwa wobec korony polskiej. Wstawiał się za nim cesarz Leopold, niepomny, że Hohenzollernowie są największymi wrogami Habsburgów. Padło jakieś zaślepienie na obu monarchów i w r. 1657 Jan Kazimierz zrzekł się zwierzchnictwa lennego nad Prusami. Fryderyk Wilhelm siedział zaś nadal w Berlinie, a gubernatorem niezawisłego już księstwa pruskiego mianował Bogusława Radziwiłła.

Z Moskwą był w owym roku 1657 rozejm, a skutkiem tego wielu niby kozaków, tracąc zajęcie w wojsku moskiewskim na Litwie, wracało na Ruś południową; były to żywioły, o których trudno było powiedzieć, czym właściwie są, a jeszcze trudniej, z czego są. Awanturnicy, zjawiający się wszędzie, gdzie zdarzy się sposobność żyć cudzym kosztem i coś zrabować. Takich przyjmowano chętnie na agitatorów i prowokatorów. Kazano im iść między lud, prosty i urządzać rozruchy pod pozorem obrony prawosławia. Hierarchia dyzunicka zajęła się teraz Podlasiem i Polesiem.

Kręciła się tam wataha kozacka, czy niby kozacka i ci urządzili istną nagonkę na „duszochwata" Bobolę. Buntowali przeciwko niemu wszędzie lud wiejski, zmyślając o nim niestworzone rzeczy, nawet że szerzy choroby zaraźliwe. Śledzono go, żeby go pojmać; lecz na próżno urządzano zasadzki na niego w Pińsku, a następnie w Janowie, gdzie nasz święty urządził sobie punkt centralny dla swych misji. Wreszcie dostał się w ręce zbirów

zdradzony przez własnego prawosławnego woźnicę na drodze w okolicy Janowa, pomiędzy wsiami Peredylną a Mohylną.

Otoczony już przez hultajstwo, ukląkł na środku drogi, mówiąc: Bądź wola Twoja! Przywiązali go do drzewa, siekli rózgami, po czym pomiędzy dwoma jeźdźcami przytroczonego na powrozie zawlekli do Janowa, przed dowódcę kozackiego. Ten ranił go szablą w rękę tak straszliwie, iż ledwie wisiała bezwładna, a drugim cięciem rozpłatał mu nogę. Inny jakiś kozak wyłupił mu oko. Potem przypiekali mu piersi i boki, zdzierali z niego żywcem skórę, obcięli mu nozdrza i usta i wyrwali język. Przywoływany ciągle, żeby się wyrzekł wiary katolickiej, odpowiadał, póki mógł mówić, wysławianiem prawdziwej wiary. Wreszcie konającego już wrzucono w błoto uliczne, gdzie po kilku godzinach dobito go ostatnim ciosem w bok. Działo się to 16 maja 1657 r. Dokonawszy mordu, zbrodnicza czereda uciekła i rozbiegła się, dzięki czemu można było zwłoki odwieźć do Pińska i tam pochować w grobach jezuickich.

Podniesiono je w roku 1702, a w r. 1808 przeniesiono aż do Połocka (bo tylko tam wówczas Jezuici utrzymali się). Bolszewicy wywieźli je do Petersburga, lecz papież je wykupił i do Rzymu sprowadził; spoczywają w Rzymie w wielkim kościele Pana Jezusa (Gesu). Beatyfikowany w r. 1853 przez papieża Piusa IX, kanonizowany na Wielkanoc r. 1938 przez papieża Piusa XI. (Papież ten był pierwszym nuncjuszem w niepodległej na nowo Polsce i wtedy otrzymał godność biskupią; u nas konsekrowany, pozostał zawsze wielkim Polski przyjacielem, gdy zasiadł następnie na stolicy Piotrowej. Udzielił pozwolenia, żeby ciało św. Boboli przewiezione było do Polski. W czerwcu 1938 r. sprowadzono tedy te święte nam relikwie do Warszawy).

Lecz wracajmy do wojen kozackich. Gdy w roku 1657

zmarł Chmielnicki, z następcą jego, Wyhowskim, zawarto umowę w Hadziaczu (na wschód za Kijowem o trzydzieści mil) na następujących warunkach:

Urządza się z trzech województw ukrainnych, z kijowskiego, bracławskiego i czernihowskiego osobne państwo ruskie, z własnym wojskiem, własnym skarbem, z własnymi ministerstwami i urzędami pod naczelnictwem hetmana, jakiego sobie kozacy sami wybiorą. To państwo ruskie ma wejść w unię polityczną z dwoma innymi państwami: z królestwem polskim i z wielkim księstwem litewskim. Szlachta wszystkich trzech państw wybiera wspólnego króla i wysyła posłów na wspólny sejm walny. Kozacy zostają szlachtą.

Warunki hadziackie świadczą aż nadto wyraźnie o sprawiedliwości i ugodowości polskiej. Czegóż więcej mogli byli pragnąć?! Ale do polityki trzeba oświaty, a to była ciemna masa; ta nowa szlachta ruska nie umiała czytać ni pisać, a przez wolność rozumieli wolność pędzenia wódki. Pozostawieni samym sobie, rzucili się jedni na drugich i zaczęły się wojny domowe o to, kto ma zostać hetmanem — a trwały przez lat 22. Bywało po kilku hetmanów naraz.

Od r. 1660 zaczynają się zwycięstwa Czarnieckiego nad Moskwą. Rakoczy się wycofał, a następca Karola Gustawa, król szwedzki Karol XI zawarł pokój w Oliwie pod Gdańskiem. Jan Kazimierz zrzekł się tytułu szwedzkiego, a w Inflanciech ustanowiono rzekę Dźwinę granicą pomiędzy panowaniem szwedzkim a polskim. Szwecja nic tam nie zyskiwała od ostatniego rozejmu, Polska niczego nie traciła. Cały więc rozlew długoletni krwi był niepotrzebny.

Teraz prowadzono ostro wojnę przeciw Moskwie. Na sejmie 1661 roku złożono u stóp tronu 193 zdobytych sztandarów. Sejm ten uchwalił podatki dochodzące aż do

50-krotnych poborów zwyczajnych! Naród, nakładający na siebie takie ofiary dla dobra publicznego, nie mógł zginąć.

Niebawem odzyskano na nowo Ukrainę, a w r. 1667 zawarto rozejm w Andruszowie, ustanawiający rzekę Dniepr granicą Ukrain polskiej a moskiewskiej. Wkrótce tego samego jeszcze roku zakończył „potop" hetman Jan Sobieski, rozgromiwszy pod Podhajcami 80.000 Tatarów. Skarb był pusty; więc Sobieski porobił zaciągi wojskowe za własne pieniądze, obdłużywszy wszystkie swe dobra.

Stefan Czarniecki tego nie dożył. Zmarł z niesłychanych trudów wojennych, z końcem wojen moskiewskich w obozie w Sokołówce pod Dubnem na Wołyniu 1665 r., otrzymawszy dopiero na krótko przed śmiercią tytuł hetmański. Ciało jego sprowadzono do miejsca rodzinnego, do wsi Czarncy w ziemi kieleckiej, gdzie spoczął w fundowanym przez siebie kościele parafialnym.

Lepiej było zaiste temu najzacniejszemu wojownikowi nie dożyć przykrości lat następnych. Samo obcięcie granic za Dnieprem było ciosem najmniejszym; nie bardzo nam zależało na tym Zadnieprzu. Straszną klęską było jednak to, żeśmy nad Bałtykiem utracili znaczenie polityczne.

Ale było jeszcze coś gorszego. Utraciliśmy równowagę wewnętrzną, bo nastała całkowita rozterka pomiędzy tronem a narodem. Wazowie nie mieli szczęśliwej ręki do Polaków. Już Zygmunt III wywołał był rokosz Zebrzydowskiego, najgorliwszego katolika. Łamać ustawy polskie zdarzało się też Władysławowi IV, a panowanie Jana Kazimierza skończyło się drugim rokoszem.

Były wady w sejmowaniu polskim, które wymagały reformy. Wiedziano o tym, błędy dostrzeżono, uznano i postanowiono naprawić. I te i inne reformy opracował gorliwie sejm roku 1666, ale wszystko ugrzęzło w kancelarii królewskiej. Jan Kazimierz żadnych reform nie chciał,

bo nie chciał w ogóle sejmu, lecz chciał zaprowadzić rządy absolutne. Decydował się w tym celu na niesłychany gwałt. Upatrzony przez niego na następcę książę francuski (d' Anguien), miał za pieniądze ze szkatuły króla francuskiego nająć sobie zaciężne wojsko szwedzkie, więc po prostu urządzić ponowny najazd szwedzki na Polskę, a zdobywszy ją sobie, zaprowadzić rządy absolutne. Wybuchła o to wojna domowa, a przywódcą rokoszu był Jerzy Lubomirski, który króla sprowadził ze Śląska i utworzył konfederację tyszowiecką; ten sam! Jan Kazimierz, zwyciężony w dwóch bitwach, musiał się wyrzec swych zamiarów; a chociaż potem sprawę dla przyzwoitości załagodzono, chociaż Lubomirski przepraszał i nawet z Polski wyjechał — jednakże wkrótce potem króla zmuszono do abdykacji. Stało się to w r. 1668.

Opinia publiczna wskazywała na Sobieskiego, jako na następcę na tronie, lecz intrygami zazdrosnych innych rodów magnackich został wybrany chorowity i niedołężny Michał Korybut Wiśniowiecki. Panował krótko (1669 — 1673) a niesławnie. Z jego winy zabrali nam Turcy znaczną część Podola z Kamieńcem Podolskim, w r. 1672. Nie puścił wojska spod Warszawy. A chociaż Sobieski znowu własnym kosztem zebrawszy żołnierza, odniósł zwycięstwa w czterech bitwach, Kamieńca jednak się nie odzyskało i Podole było przez 27 lat prowincją państwa tureckiego.

W r. 1673 odniósł Sobieski jeszcze jedno zwycięstwo w słynnej bitwie pod Chocimem. Sama sułtańska zielona chorągiew wpadła w polskie ręce i do czterechset sztandarów i buńczuków. Papież kazał rocznicę tego zwycięstwa obchodzić po wieczyste czasy w całym Kościele katolickim, przepisawszy na dzień 11 listopada osobne z tego powodu modły do kapłańskich brewiarzy. I tak do dziś dnia we wszystkich a wszystkich kościołach katolickich, ile ich

tylko jest na całym świecie, rozbrzmiewa nam świadectwo przez usta kapłanów wszystkich narodów, żeśmy byli przedmurzem chrześcijaństwa w Europie.

Król Michał zmarł w sam raz w wigilię tego zwycięstwa. Tym razem nie pomogły już żadne intrygi i wdzięczny naród wybrał Sobieskiego królem w r. 1674.

23. OCALENIE CHRZEŚCIJAŃSTWA.

Nazwisko Sobieskiego znane jest całemu światu; nawet w takich krajach, gdzie o Polsce nic nie wiedziano i nie troszczono się o to, czy ona istnieje i gdzie leży, jedno wspomnienie o Polsce jednak zachowywano: pamięć króla Jana III Sobieskiego, który ocalił Wiedeń i chrześcijaństwo. Jeżeli kto z historii umie jak najmniej, po prostu nic, jeżeli kto nie umie rozróżnić Piastów od Jagiellonów, jeśli nawet nie wie, które męczeństwo było wcześniej, czy św. Wojciecha, czy św. Andrzeja Boboli; o Sobieskim jednak wie na pewno, że pobił Turków pod Wiedniem! Tym bardziej wiedzą przeto o tym z góry wszyscy czytelnicy niniejszego dziełka. Nie o samym przeto fakcie ma ich informować ten rozdział, ale o tle, na jakim wydarzenie się dokonało, o stosunkach i okolicznościach, jakie towarzyszyły wiekopomnemu czynowi naszych przodków.

Najciekawsze i najbardziej zajmujące jest to, że złożyliśmy ofiarę chrześcijaństwu i ocaliliśmy panowanie Krzyża w Europie, kiedy nam samym zaczynało się już powodzić źle.

Skutki „potopu“ nie od razu wystąpiły w całej srogości, a były to skutki tego rodzaju, iż nie ustawały, lecz dawały się coraz bardziej we znaki; nie ustawały, lecz przybierały na sile, gdyż im nie zaradzono. Zaradzić było ciężko, czasem nie dało się, ale często nie zaradzono dlatego, bo zaradzić nie umiano. A właśnie za panowania

tak pełnego chwały, jak króla Jana III, miały się rozwinąć pewne następstwa „potopu“ nader boleśnie.

Ruiny w całym kraju, miasta całe w gruzach, poburzone grody, rozwalone kościoły — to wszystko dałoby się odbudować i odnowić. Dużo też odbudowano, ale na pewno zaledwie połowę. Do dnia dzisiejszego sterczą po całej Polsce ruiny z owego okresu! Nie było za co odnawiać ich! Zabrakło pieniędzy; zubożeliśmy i już się z tego ubóstwa nie podnieśliśmy.

Przede wszystkim nastało wyludnienie kraju. Ileż ludności poległo, pomarło z ran i z trudności wyżywienia, ile przepadło w niewoli, a ile kobiet i dzieci poszło w jasyr tatarski! A my zajmujemy historycznie obszary tak znaczne (spojrzmyż na mapę), iż tylko obfite gęste zaludnienie może podołać zadaniom ekonomicznym, kulturalnym i politycznym na takiej rozległości. Bardzo to dziecinne jest mniemanie, jakoby bieda pochodziła stąd, iż ludzi jest za dużo! Doświadczenie uczy inaczej. Najbogatsze i najdzielniejsze są te kraje, w których ludność najgęstsza — oczywiście o ile posiadają inne warunki powodzenia: moralność i oświatę; w każdym razie rzeczą to jest pewną, że wielka liczebność i gęstość zaludnienia stanowi jeden z warunków pomyślności.

Wyludniona Polska popadła w ubóstwo głównie dlatego, że miasta były zrujnowane. Mieszczaństwo nasze „poszło z torbami“. Niegdyś, za Zygmunta Starego, żaliła się szlachta, że w całym niemal województwie krakowskim mieszczanie krakowscy wykupili dobra szlacheckie. Ale po „potopie“ kupiec polski ledwie miał za co odnowić towar we własnym sklepie!

Przyczyna upadku handlu w tym, że do morza Czarnego nie dotarliśmy, a nad Bałtykiem został nam się mały skrawek, opanowany dokładnie przez jedno tylko miasto

naprawdę handlowe: Gdańsk. Zagwożdżone było najsilniejsze źródło narodowego dobrobytu. Takie tylko narody mogą być bogate, które posiadają handel własny, należycie rozwinięty. Handel ma to do siebie, że korzyści z niego płynące rozdzielają się na wszystkie warstwy społeczne; tym bardziej przeto zależy na tym, żeby mieć własny handel narodowy.

A tymczasem w Polsce ówczesnej Polacy sami temu przeszkadzali, sprzeciwiali się. Jakieś zaślepienie spadło na szlachtę; uroiło im się, jako ubliża to honorowi szlachcica, jeżeli zarobkuje „łokciem lub kwartą". Uchwalono, że taki traci „klejnot szlachecki" i trzymano się tego ściśle. A trzeba wiedzieć, że np. mazowieckie miasta miały za Zygmuntowskich czasów ludność niemal wyłącznie szlachecką z drobnej szlachty, która dorabiała się właśnie łokciem i kwartą. Pojęcia o tych sprawach zmieniły się radykalnie, a niestety zmieniły się nierozumnie.

Zubożałe miasta nie mogły też przygarniać nadmiaru ludności wiejskiej, nie mogły dostarczać zarobków młodszym synom wieśniaczym. Cała młodzież wiejska musiała pozostać we wsi rodzinnej, nie mogąc znaleźć zarobku indziej, jak tylko u dziedzica tej samej wsi. A zatem stan wieśniaczy musiał popaść w całkowitą zależność od szlachty. Wszelka bowiem niezależność, niepodległość, zawisła jest od zależności lub niezależności ekonomicznej. Im ktoś uboższy, tym trudniej mu być niezależnym.

Powszechne zubożenie musiało odbić się na skarbie państwa. Podczas wojen robiono takie wysiłki, iż układano i płacono podatki coraz wyższe, aż do pięćdziesięciokrotnych. Czyż takie wysiłki mogą być trwałe? Musiał nastać czas, że potem nie było z czego zapłacić nawet zwykłego podatku. A podatki nadmierne są jak zmora:

wysysają krew i mózg ze społeczeństwa i po pewnym czasie zostaje rzesza wynędzniała i ciemna.

Lecz społeczeństwo żadne, nigdy i nigdzie, nie obejdzie się bez handlu. Skoro Polacy opuścili tę dziedzinę życia, zajęli ją Żydzi. Łokieć i kwarta stały się w Polsce żydowskie — a zatem także bogactwo musiało przejść w ich ręce.

Żydzi byli u nas już za wczesnych Piastów, jako kupcy wędrowni z kosztownym towarem zagranicznym, jako agenci odległego od Polski handlu międzynarodowego. Przybywało ich, i w wieku XIV zaczęli się organizować. Tradycja pomyliła jednak dwóch królów Kazimierzów; tłumny napływ żydostwa nastąpił wcale nie za Kazimierza Wielkiego, lecz dopiero za Kazimierza IV Jagiellończyka. Przepędzano ich z Francji do Niemiec, a z Niemiec do Polski.

Im niżej stał gdzie handel, tym więcej było miejsca dla Żydów. Ale aż do XVII wieku nie zajmowali się u nas handlem drobnym, sklepowym; to nastąpiło dopiero za Wazów; podczas „potopu" miasta popadały coraz więcej w ich moc. Cóż dopiero po „potopie", gdy ani wieśniak, ani szlachcic nie ruszali się ze wsi rodzinnej! Sklepy i sklepiki i wszystkie karczmy i arendy wiejskie i myta na drogach, wszystko ich! Gotówki nie było nigdzie, tylko u nich, więc się u nich pożyczało i mieli wszystkich w kieszeni, szlachcica, mieszczanina i chłopa.

Wieś przeludniona liczyła z czasem kilka razy więcej rąk do pracy, niż było trzeba. Przybywało ludzi, ale gruntu nie. Działki coraz drobniejsze, a do każdej roboty dziesięciu, gdzieby wystarczył jeden. Wieś uczyła się tedy próżniactwa. Wypróżniaczali się coraz bardziej i dziedzice i chłopi. Wytwórczość opadała aż poniżej niewielkich po-

trzeb ciemnej ludności. Wyręczali nas coraz bardziej cudzoziemcy i Żydzi, oczywiście nie za darmo.

Rozmnażali się Żydzi bardziej od Polaków, bo nie chodzili na wojny. Tak się u nas rozmnożyli, jak nigdy jeszcze nigdzie na całym świecie, a że byli zarazem zamożni, więc nauka i oświata żydowska rozkwitały w najlepsze. Posiadali też całkowity samorząd. Korzystając z warunków jak najlepszych, wzmacniali odrębną swoją cywilizację żydowską, swój własny ustrój życia zbiorowego i wprowadzili w życie swoje odrębne, a osobliwe poglądy na to, co dobre a złe. Wychodziło to wszystko w praktyce na to, że co tylko korzystnym było dla Żydów, szkodliwym było dla Polski; a zatem im więcej zła działo się Polsce, tym lepiej działo się Żydom w Polsce.

W takich ciężkich czasach stawał na czele państwa król Jan III Sobieski, wódz jeden z największych, a polityk rozumiejący doskonale położenie narodu. Był to ostatni nasz przodownik, który parł i do wygnania Turków znad morza Czarnego i do zajęcia księstwa pruskiego nad Bałtykiem. Zobaczymy, że i w innych sprawach polityka jego była dla Polski jak najkorzystniejszą. Można śmiało powiedzieć, że państwo polskie upadło potem dlatego, ponieważ nie szło się w kierunku wytyczanym przez Jana III. Upadek jego polityki stał się upadkiem Polski.

Jan Sobieski był prawnukiem po kądzieli świętego hetmana Żółkiewskiego; stał się owym „mścicielem“, zapowiedzianym na grobowcu pradziada. Prowadziła go tam często i napis ten wskazywała matka, Teofila z Daniłowiczów, gdy lata pacholęce spędzał w Żółkwi. Wychowywał się w marzeniach o walce z półksiężycem, jako o obowiązku religijnym i narodowym. Religijnym był nadzwyczaj, jak żaden inny król, ni w Polsce, ani w żadnym innym kraju. Należał do bractwa różańcowego, suszył soboty, nie

zaczynał niczego bez modłów, a gdy wyruszał na wyprawę wojenną, zaczynał to od procesji. Własnym kosztem kazał przedrukować „Nabożeństwo żołnierskie“ Skargi, a zasiadłszy na tronie, lubiał tytułować się „rex orthodoxus" tj. król prawowierny.

Rodził się na wodza, ale też uczył się na wodza. Nikt nie posiadał wyższego wykształcenia zawodowego, jak on. Słynęła wówczas francuska sztuka wojenna. On jedzie do Paryża i wstępuje do pułku tzw. muszkieterów wielkiego króla Ludwika XIV; następnie przebywa jakiś czas w Konstantynopolu, żeby tam na miejscu zapoznać się z wojskiem tureckim i jego sposobami. Potem wstąpił pod chorągiew Czarnieckiego, poczynając od najniższego stopnia oficerskiego. Dosługiwał się stopni wyższych w ogniu licznych bitew. Tak został pułkownikiem, a po śmierci swego wodza wziął po nim buławę polną; a gdy później został hetmanem wielkim koronnym, wiemy, że nie za nic. Przedtem, nim został królem, miał za sobą kilka wypraw zwycięskich i Chocim. Był za to wpisany do brewiarzy kapłańskich całego katolickiego świata.

Ale ten podziwiany już wówczas przez cały świat bohater nie wszystkim w państwie polskim podobał się: Litwa miała innego kandydata na wspólnego króla. Litwa była wobec Polski zacofana; tam ustrój społeczny był arystokratyczny, tam możnowładztwo trzęsło krajem. Naczelny magnat litewski, Michał Pac, był od początku i potem przez całe życie przeciwnikiem Sobieskiego. Kogóż więc chciał osadzić na tronie polskim? Henryka Hohenzollerna z dynastii brandenburskiej, syna owego elektora i księcia pruskiego, który połączył się był ze Szwedami przeciw Polsce! Zobaczymy, jak cały dalszy ciąg dziejów naszego państwa zależał od pytania: Sobieski czy Pac? Który bę-

dzie górą? A cóż wartał Pac wobec takiego Sobieskiego? Jeżeli Pacowie wezmą górę, co będzie z Polską?

Nowy król musiał spieszyć do swego dzieła. Zwycięstwo chocimskie uważał dopiero za początek sprawy. Zaczął panowanie od tego, że odłożył koronację, bo zaraz z pola elekcyjnego ruszył na nowo do wojska.

Groziło poważne niebezpieczeństwo Lwowowi. Miał nowy król z sobą ledwie 6.000 żołnierza, gdy wczesnym rankiem 25 sierpnia 1675 r. zawrzała pod miastem Lwowem pod Lesienicami walka. Tłumy modliły się na klęczkach przed wizerunkiem Najśw. Maryi Panny Zwycięskiej w kościele jezuickim, gdy polskie rycerstwo rzucało się z okrzykiem „Żyje Jezus, żyje Maryja" na nieprzyjaciela liczniejszego dziesięćkroć. I odnieśli zwycięstwo świetne. Przypisywano zaś łasce Najśw. Panny fakt, że straszliwa nawałnica z piorunami zwróciła się właśnie przeciw Turkom, i że po tamtej stronie niezmierna wichura zrzucała jeźdźców z koni.

W obronie Lwowa Litwini nie brali udziału, bo ów Pac, jako hetman litewski, spóźnił się umyślnie. Zobaczymy, że nie ostatni raz się spóźnił!

Odebrał król Turkom województwa bracławskie i niemal całą kijowską Ukrainę, gdzie przedtem hetman kozacki Doroszenko uznawał się sułtańskim lennikiem.

Z początkiem października 1675 cofnęli się Turcy za Dniestr. Teraz dopiero pozwolił Sobieski robić przygotowania do koronacji, która odbyła się w Krakowie dn. 2 lutego 1676 r. Koronacyjnym miejscem pozostał bowiem Kraków, chociaż królowie od Zygmunta III mieszkali w Warszawie.

Nadworny ówczesny kaznodzieja, ksiądz Piekarski, wołał w kazaniu sejmowym na otwarcie sejmu koronacyjnego, by król „posunął granice Polski poza Odrę, po rzekę

Salę i wbił tam na nowo, porwane już dawno nurtem rzeki, słupy Chrobrego". Myślał nowy król o Śląsku i o ziemiach dawnych słowiańskich, jakie znajdowały się pod panowaniem brandenburskiej dynastii Hohenzollernów i o tym, żeby odebrać im Prusy Książęce, a przyłączyć je do polskiej korony. Wtedy bylibyśmy panami Bałtyku.

W tym właśnie czasie poznał się nowy król z innym wybitnym kapłanem, mianowicie z księdzem Janem — a zakonnym imieniem Stanisławem — Papczyńskim. Ten urodzony w r. 1631 w Podegrodziu na podkarpaciu Sandecczyzny, przechodził szkoły w Nowym Sączu i Jarosławiu u Jezuitów, potem wstąpił do zakonu, lecz nie do Jezuitów, ale do Pijarów w Podolińcu na Spiszu. Nauczał z zapałem, z prawdziwego powołania, ale święcenia kapłańskie przyjął dopiero w r. 1660. Nauczanie w szkołach pijarskich stanowiło ledwie trzecią część jego żywota, niezmiernie pracowitego; był również zawołanym kaznodzieją i jeszcze autorem dzieł teologicznych i podręcznika do wymowy. Zwłaszcza ta ostatnia książka zrobiła go sławnym. Znał osobiście wszystkich niemal wybitnych współczesnych, a tak był poważany, że bawiący w Polsce nuncjusz papieski (Pignatelli) wziął go sobie za spowiednika. Zostawszy następnie papieżem pod imieniem Innocentego XII, zawsze wspominał jak najlepiej księdza Papczyńskiego. Wkrótce usłyszano o nim w Rzymie, bo starał się o pozwolenie, żeby mógł wystąpić od Pijarów, u których przepracował już lat 17 — liczył zaś lat 40 — ponieważ postanowił sam założyć zakon nowy. Po trzechletnich przygotowaniach powstało w Krakowie w r. 1673 pierwsze „Zgromadzenie Niepokalanej Dziewicy Maryi", gdyż życie wewnętrzne zakonników miało być oparte głównie na czci Najśw. Maryi Panny. Krótko jednym słowem zwano ich: Marianie — i ta nazwa utarła się.

Jest to pierwszy i najstarszy zakon polski, z polskiej myśli poczęty i z polskiego ducha, w Polsce obmyślany i przez Polaków zorganizowany. Obok zwykłych trzech ślubów składali czwarty specjalny, „wszelkimi siłami i sposobami ratować dusze w czyśćcu i drugich do tego zachęcać". A pierwszymi członkami zakonu byli „żołnierze weterani z wojen kozackich i szwedzkich, którzy porzuciwszy świat chcieli resztę życia przepędzić w pokucie i ustawicznych modłach za poległych na wojnie towarzyszów". Surowy też był tryb życia zakonników, wmyślonych ciągle w nieboszczyków, w czyściec i odprawiających wciąż msze żałobne. Obok tego pracowali na kazalnicy, w konfesjonale, zakładali szkółki i szpitaliki. Król stał się żarliwym przyjacielem Marianów, Ojca zaś Papczyńskiego sprowadził potem do Warszawy i często u niego przystępował do spowiedzi.

Wyrywał się Jan III do obozu, boć sułtan miał nadal w swym ręku Podole; a nie ulegało wątpliwości, że będzie się starał odzyskać na nowo Ukrainę. Jakoż jeszcze w r. 1676 wyruszyła jesienią nowa stutysięczna armia. Powiodło się Janowi III odeprzeć ją pod Żurawnem, po czym zawarł tam traktat, że dwie części Ukrainy powracają do Polski, a tylko trzecia część będzie przyznaną Kozakom, którzy uznają zwierzchnictwo tureckie. O Podole zaś miano się porozumieć, i król wyprawił w tym celu poselstwo do Konstantynopola.

Równocześnie opracowano plan wojenny, według którego miało wojsko polskie uderzyć na księstwo pruskie wiosną 1678 r. Była bowiem nadzieja, że nastanie przerwa w wojnach tureckich. Popsuły się jednak wszystkie rachuby w Konstantynopolu. Okazało się, że sułtan traktatu nie zatwierdzi i że się wycofuje. Natenczas Jan III zbliżył się do Moskwy i w r. 1678 przedłużył rozejm andruszowski

na lat 13. Wypłacił wtedy car Fiedor dwa miliony złotych i zwrócił z zaborów swych z czasów „potopu“ kilka powiatów litewskich, przyrzekając nadto oddać całą Siewierszczyznę. Teraz mógł Jan III myśleć swobodniej o dalszych rozprawach z półksiężycem, upewniwszy się, że Moskwa nie uderzy z tyłu.

Chcieli go jednak uderzyć z tyłu właśni jego poddani litewscy. Tegoż właśnie roku 1678 wykryto spisek możnowładztwa litewskiego, Pacowski spisek, żeby Jana III strącić z tronu. Wyśledzono nici tego spisku; wiodły do Berlina, do stolicy Hohenzollernów. Król stłumił i uciszył sprawę, żeby nie wywoływać niepokojów wewnętrznych, żeby się cały mógł oddać sprawom zewnętrznym.

Chciał wielkiej wojny zaczepnej, żeby skończyć z Turcją, żeby powalić ją wreszcie, a potem zabrać się do dalszego zdobywania wybrzeży Bałtyku. Starał się więc o europejską ligę przeciw Turcji. Nie doszła ona do skutku w takich rozmiarach, jak pragnął, ale papież i książęta włoscy, Hiszpania i Portugalia udzielili subwencji pieniężnych, a dynastia habsburska zawarła sojusz wojenny. Dnia 31 marca 1683 r. stanęło przymierze zaczepno odporne; obie strony zobowiązały się podjąć walkę z Turcją i nie zawierać pokoju, jak tylko wspólnie; gdyby zaś zagrożony był Wiedeń lub Kraków, należy natychmiast udzielić sobie wzajemnie pomocy zbrojnej.

Warunek ten zaszedł szybko. Ledwie w pięć miesięcy po podpisaniu przymierza ruszyli Turcy na Wiedeń. W całej Polsce wybuchł powszechny zapał, żeby zaraz ruszać pod Wiedeń. We współczesnych pismach włoskich czyta się, że zbiera się wojsko znacznie większe, niż przypuszczano z początku, a ochotników wciąż przybywa. W sierpniu 1683 r. pisze jeden z dyplomatów włoskich do księcia toskańskiego: „Jeżeli Wiedeń zdoła tylko utrzy-

mać się do nadejścia Polaków, należy spodziewać się zwycięstwa jak najświetniejszego".

Ruszył za Sobieskim prawdziwie cały kwiat narodu polskiego, albowiem była to wyprawa religijna. Sam król od młodości członek bractwa różańcowego, suszący w soboty, codziennie słuchający mszy św. — a rycerstwo jego niemniej pobożne i nabożne. W pochodzie pod Wiedeń odprawia się codziennie polowa msza św. Król przystępował przez ten czas sześć razy do sakramentów św.; nim wyruszył, nawiedzał pobożnie szereg miejsc świętych od Sokala poprzez Kraków aż do Piekar na Śląsku. Zatrzymał się w Częstochowie, w Krakowie odbył procesję po ważniejszych kościołach, modląc się długo przed grobem św Jacka. Trzeba sobie tedy wyobrazić całe hufce wojenne, naśladujące przykład wodza. Ideałem tego rycerstwa jest rycerz pobożny. Biorą ze sobą na wyprawę dawne Skargi „Nabożeństwo żołnierskie", które kazali przedrukowywać przedtem Żółkiewski, a teraz Sobieski, lub też nową podobną książkę słynnego księdza Starowolskiego „Prawy rycerz".

Swojską też sercom polskim stawała się osoba królewska podczas tej wyprawy. Chociaż już nie młody — liczący lat 59 — a z powodu tuszy ociężały, siada do karety tylko dopóty, póki go królowa odprowadza do granic państwa, ale zaraz potem ta sześciokonna kareta odesłana jest do taboru, a król odbywa całą wyprawę konno, nocując pod „namiotkiem", a był „namiotek" bardzo mały i mizerny; często zresztą nocuje pod gołym niebem, z kulbaką pod głową.

Im bliżej Wiednia, tym trudniej o spiszę, tj. o wyżywienie żołnierza. W pobliżu niemieckiej stolicy, trzymanej w kleszczach tureckiego oblężenia, sam król musiał zagryzać suchym chlebem. Turcy właściwie byli już w Wied-

niu i broniło się jeszcze tylko śródmieście obwiedzione murem. Oblężenie trwało już osiem tygodni i odbyło się już 20 szturmów. Wiedeńczycy byli w niemałej trwodze, czy odsiecz níe przyjdzie za późno. Radziby porozumieć się z naczelnym wodzem cesarskim, którym był Karol lotaryński, a który stał na drugim brzegu Dunaju, czekając na Polaków; lecz chcąc się tam dostać, trzeba by przejść przez cały olbrzymi obóz turecki. Bawił wówczas w Wiedniu Jerzy Kulczycki, rodem z Sambora, który umiał po turecku. Przebrał się za Turka, przeszedł zręcznie przez cały obóz, przepłynął wpław wielką rzekę Dunaj, a w cztery dni wrócił z listem księcia lotaryńskiego, że król Jan jest już w drodze. Już zdobyte były zewnętrzne wały miasta, a dnia 9 września dotarli Turcy do wewnętrznych.

Dwudziestu pięciu książąt Rzeszy Niemieckiej czekało pod Wiedniem na posiłki polskie. Przywiódł Jan III 34 tysiące zbrojnych. W niedzielę 12 września 1683 kazał odprawić mszę św. na dwie godziny przed wschodem słońca. Odprawiał ją słynny papieski dyplomata, Marek d'Aviano, który najeździł się sporo po Europie za ligą przeciw Turcji, spisał się doskonale, a był tylko skromnym mnichem kapucyńskim. Asystował przy tej mszy św. bł. Stanisław Papczyński, a służył do niej sam Jan III. Jest legenda, że Aviano zakończył tę mszę zamiast „Ite missa est“ całkiem mimowoli, nieświadomie, słowy „vinces Johannes“ (zwyciężysz Janie). Zaraz po mszy pięć wystrzałów armatnich dało hasło do boju. Oczywiście nie jedna tylko odbywała się msza św., bo przecież było 34.000 takich, którzy chcieli być na mszy; nie brakło też kapelanów wojskowych.

Zawrzała bitwa, jedna z najważniejszych w historii powszechnej. W razie wygranej miało jedno wojsko sułtańskie ruszyć spod Wiednia przez Bawarię i Czechy w głąb Niemiec, a drugie w przeciwnym kierunku, na po-

łudnie, do Włoch; nie trudno też domyśleć się, że i o Polsce sułtan nie zapominał. Chodziło tedy naprawdę o ocalenie chrześcijaństwa i każdy żołnierz polski wiedział o tym doskonale.

Jan III objął naczelne dowództwo także nad niemieckimi wojskami. Sam wykonał główny atak na równinie, gdzie dziś stoją dzielnice wiedeńskie Hernals i Meidling. Najważniejszy moment bitwy nastał, gdy król wydał rozkaz Zygmuntowi Zbierzchowskiemu, chorążemu łomżyńskiemu, żeby w 200 koni husarii ciężko-zbrojnej, całym pędem starał się dotrzeć wprost do namiotu wezyra. Uważano powszechnie, że chorągiew ta posłana jest na stracenie, byle tylko wyłom zrobić w obozie tureckim. A oni nie tylko dotarli, ale też — wielki łuk dalej zataczając — wrócili. Bohaterski to był rozpęd! W pierwszym szeregu pędził Andrzej Biesiekierski, skarbnik bydgoski. Ten porwał główny sztandar sułtański, zielony sztandar Mahometa i wręczył go następnie królowi. Mnóstwo było przykładów nadzwyczajnego męstwa, o czym król pisał w liście do królowej te krótkie a wymowne słowa: „O naszych niektórych nad wszystko na świecie podziwienie trzeba by cudowne rzeczy pisać". Ale bo też jakichże „cudownych" miał żołnierzy! A „najcudowniejszy" chyba, wojak zawodowy z dawnych lat, Wojciech Rubinkowski, husarz w pułku królewicza Jakuba, liczył lat 95, a jednak — jak zobaczymy — nie był jeszcze bynajmniej starcem.

Król posyłał z wyprawy ciągle listy do swej królowej małżonki, z których każdy zaczynał się od słów: „Jedyna serca i duszy pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Marysieńko" (a była księżniczką francuską). Za szczęśliwego poczytywał się każdy, komu królowa pozwoliła przepisać sobie taki list, będący zarazem najlepszą gazetą z wyprawy. Sławny zaś list, pisany w nocy z 12 na 13 września,

datowany w „namiotach wezyrskich", kopiowany bywał na papierze naoliwionym, żeby przerysowywać literę za literą. W ten sposób rozchodziły się po Polsce podobizny tego listu, głoszącego, jak to „Bóg i Pan nasz na wieki błogosławiony dał zwycięstwo i sławę narodowi naszemu, o jakiej wieki przeszłe nigdy nie słyszały". Na drugi dzień odbyło się w katedrze św. Szczepana w Wiedniu nabożeństwo dziękczynne z kazaniami w języku łacińskim, niemieckim i polskim. Kazanie polskie wygłosił bł. Stanisław Papczyński. A w liście do Ojca św. pisze król: „Przybyliśmy, zobaczyliśmy, a Bóg zwyciężył". Posyłał zarazem do Rzymu wielką chorągiew, zdobytą przez Biesiekierskiego.

Nieprawdaż, że Niemcy okazywali zapewne na wyścigi wielką wdzięczność? Zobaczmyż!

Ani nawet biskup wiedeński nie uważał za stosowne podziękować, lub choćby przedstawić się wjeżdżającemu do Wiednia zbawcy. Przykład grzeczności szedł z góry. Sam cesarz, Leopold I, rycerzem nie był, w bitwie nie brał udziału, bo zawczasu zbiegł daleko na zachód od Wiednia (do miasta Lincu). Teraz powracał, ale ledwie raczył zobaczyć się z tym, któremu zawdzięczał ocalenie tronu. A ceremoniał spotkania układali urzędnicy cesarscy mozolnie przez kilka dni, żeby zaś cesarz nie wydał się za mały przy tym królu zaprawdę wielkim!

A potem działy się rzeczy niesłychane! Nie chcieli cesarscy dostarczać wojsku polskiemu niczego, a chorzy ranni „na gnojach leżą nieborzęta postrzeleni", a król nie może się doprosić „szkuty jednej", żeby ich przewieźć Dunajem łodziami do miasta Preszburga i tam leczyć kosztem własnym. „Wozy nam rabują, konie gwałtem biorą", skarżył się król Marysieńce.

Krótko zabawiwszy pod Wiedniem, wybrał się Jan III na Węgry, żeby stamtąd Turków wyrzucić. Słynie

w historii wojen tameczna wielka bitwa pod Parkanami. Pierwszego dnia bitwy źle obsłużony i zmylony przez wywiady niemieckie, doznał Sobieski klęski, lecz nie opuścił miejsca, i na trzeci dzień odniósł zwycięstwo tryumfalne, które on sam cenił wyżej od wiedeńskiego. Brał w tej bitwie udział Rubinkowski, i tam dopiero został ranny po raz pierwszy w życiu, i w jednym dniu otrzymał trzy rany. Wrócił jednak do Polski zdrów, otrzymał od króla starostwo kamienieckie i spełniał usługi obywatelskie jeszcze przez kilka lat, nie odczuwając ciężaru starości.

Zdobył Sobieski jeszcze twierdzę Ostrzyhom na Turkach, gdy „zaraz wszystko tak się odmieniło, jakoby nas nigdy nie znano. Prowiantów żadnych nie dają, na które przysłał Ojciec św. pieniądze". Było widocznym, że cesarz woli Turków mieć dłużej na Węgrzech, byle się tylko pozbyć z Węgier króla polskiego. Powstał bowiem pośród Węgrów plan, żeby zawrzeć unię z Polską i Sobieskiego przyjąć na wspólnego króla. Zbliżała się zima, wojna musiała być przerwana. Następnej wiosny spodziewał się Jan III wypędzić Turków już z reszty Węgier, po czym przyszłaby kolej na odzyskanie Podola, a potem dotrzeć do Morza Czarnego i po skończonych wojnach tureckich zabrać się do Prus Książęcych nad Bałtykiem. Tymczasem kazał król przyrządzić dla wojska leże zimowe na Węgrzech i sam przy wojsku miał zimować. Gdy go wzywano, żeby wracał do Polski, nie chciał o tym słyszeć; ani nawet Marysieńce nie pozwalał pisać do siebie o tym przedwczesnym powrocie.

A jednak wrócił przed zimą. Nie cesarscy go do tego zmusili, lecz swoi, a mianowicie Litwini. Również pod Wiedniem nie było Litwy! Znowu się spóźnili! Nadciągnęli dopiero wtenczas, kiedy wypadało zaciągnąć leże zimowe. Byłoby lepiej, gdyby wcale nie byli przyszli! Wobec lud-

ności Górnych Węgier zachowywali się, jakby nieprzyjaciele; łupili, rozpościerając swe zagony aż na Morawy. Narobili dużo kłopotów, a jeszcze więcej wstydu. Król prowadził już układy z Węgrami „ale się nam wszystek traktat pomieszał tym postępkiem wojska litewskiego". Ludność teraz zaczęła patrzeć na wojsko polskie nieżyczliwie. Czyż miano prowadzić wojnę z ludem, by wymusić sobie leże zimowe i zostawić na Węgrzech litewskich łupieżców? Król wrócił do domu i wojnę przerwał, bo już na Węgry nie powrócił.

Rozchodziła się tymczasem po świecie całym wielka sława odsieczy wiedeńskiej. W Rzymie wystawiono na rynku „Trajana" kościół na pamiątkę ocalenia chrześcijaństwa. Nawet w protestanckich krajach, w Anglii i w Skandynawii obchodzono uroczyście tryumf Sobieskiego. Imię jego było i jest sławione w całym świecie chrześcijańskim i muzułmańskim, bo sława Jana III rosła z wiekami, przechodząc po całej ziemi do coraz nowych ludów. Nawet na niebie lśni „tarcza Sobieskiego". Tak nazwał sławny astronom gdański, Hevelius, pewien odkryty przez siebie zbiór gwiazd, przez wdzięczność za poparcie, jakiego doznawał od króla w swych studiach.

Był Jan III protektorem nauk. Sam czytywał dużo. Znał języki łaciński, francuski, niemiecki, włoski, a hiszpańskiego nauczył się, mając już koło pięćdziesiątki. Dworowi królewskiemu nie byli obcy ówcześni uczeni polscy, sam król lubiał ich zbierać około siebie, słuchać i dysputować; czasem sam oznaczał temat, który chciał mieć bliżej wyjaśniony i wyszukiwał pomiędzy uczonymi odpowiedniego referenta. Szczególniej był miłośnikiem geografii. Za jego czasów kwitnęły w uniwersytecie krakowskim (jak i poprzednio) nadal matematyka i astronomia. Wśród duchowieństwa celowali w naukach przede wszystkim

Jezuici, a jeden z nich, Adam Adamanty Kochański zasłynął na całą Europę. W dążeniach Jana III znać pragnienie, żeby podnieść stan umysłowy w społeczeństwie.

Mieli też w nim oparcie wszyscy, którzy pracowali na niwie kościelnej, bo był panem katolickim na wskróś. Miał w nim oparcie bł. Papczyński. Miał je też świątobliwy sufragan poznański, Kurski, który żył do 1681 r. Gorliwy ten pasterz wyświęcił w swym życiu 1131 księży. Sława jego świątobliwości sięgała daleko i podnosiła sławę Bernardynów, z których wyszedł, a których habit nosił do końca życia. Dzisiejszy historyk tego zakonu nie może wyjść z podziwienia, że nie zaliczono Kurskiego do pocztu błogosławionych!

W samym roku odsieczy wiedeńskiej 1683, przysłał papież Innocenty XI do Polski przedstawicieli nowego zakonu „Ojców Bosych Trójcy Przenajświętszej“, zwanych krótko „Trynitarzami“. Wnet mieli z pomocą króla i biskupów klasztory we Lwowie, w Krakowie i w Kielcach. Specjalnością ich było wykupno jeńców pozostających w niewoli tureckiej. Zakon jakby stworzony dla Polski! Jeszcze za panowania Jana III wykupili 173 osób. Toteż powiedziano o nich: „A któż by tak zbawiennych nie kochał zakonnych dobrodziejów? Któż by im miał żałować swego dobra, jałmużny i szczodrobliwości na tak święte i zbawienne dzieło?“ Przybyło im potem jeszcze osiem klasztorów.

Pod koniec panowania wielkiego króla przybyły do nas jeszcze dwa zakony, oba w r. 1695 i oba najpierw do Krakowa. Jeden żeński „Panien zakonnych od Nawiedzenia Panny Przenajświętszej“, czyli po łacinie „Visitationis“, w spolszczeniu zwane przeto Wizytkami. Dniem i nocą odprawiają nabożeństwo przed Najświętszym Sakramentem i w chórze i w celach. W starej notatce o nich

czytamy: „Jest tu wiele panien szlachetnie i wysoce zrodzonych, na duchowne danych wyćwiczenie, przy którym uczą się oraz języka francuskiego, więcej jednak czasu trawiąc na modlitwie, aniżeli przy gramatyce francuskiej". Drugi zakon był męski, znany we Włoszech od końca wieku XVI i dziwna rzecz, że tak późno do Polski wprowadzony: Kapucynów. Zapewne osobista znajomość króla od wiedeńskiej odsieczy ze św. Aviano sprawiła, że ich do Polski wreszcie zaproszono. Stanowią tedy żywą pamiątkę wielkiego pod Wiedniem zwycięstwa.

Niestety, Litwini zmarnowali owoce tego zwycięstwa, o ile chodziło o interesy państwa polskiego. Gdybyż Sobieski mógł był przezimować na Węgrzech do wiosny 1684 r. i spełniać dalej konsekwentnie swoje plany! A gdybyż było doszło do unii politycznej z Węgrami, do tego starego marzenia polityki polskiej! Ale Litwa wyrzuciła nas z Węgier. Dalsza zaś wojna z Turcją potoczyła się zgoła inaczej i trwała aż do r. 1699.

Wojowano z sułtanem dalej na Podolu i Ukrainie, a hetman Andrzej Potocki zdobył niemal w całości te dwa województwa z powrotem; z roku na rok walczono tam zwycięsko, ale nie odzyskano Kamieńca, przez Turków mocno obwarowanego. Lecz król postanowił iść prosto w kraje nieprzyjacielskie. Gotował więc na rok 1686 wyprawę, marząc o Carogrodzie, zwłaszcza że był w sojuszu i z Habsburgami i z Moskwą. Ażeby pozyskać pomoc Moskwy przeciwko Turcji (dawna myśl Zamojskiego i Batorego), gotów był zrzec się na wieczne czasy wszystkich ziem na Zadnieprzu wraz z Kijowem w zamian za dostarczenie wojska na wojnę turecką. Przystał car na to. Król ruszył na wyprawę pełen otuchy; doszedł aż do dolnego biegu Dniestru, gdzie miały nadejść posiłki, ale nie nadszedł nikt i trzeba było tak dzielnego wodza, jakim był

król Jan III, ażeby wobec tego zawodu dokonać obronną ręką odwrotu.

Podobny zawód spotkał Sobieskiego jeszcze raz w r. 1691, gdy ruszył na Mołdawy. Wiodło mu się, jak zawsze, świetnie. Po zwycięstwie pod Perezytą dostały się całe Multany w polskie ręce; droga do Turcji stała otworem, ale sprzymierzeńcy zawiedli. Nie przysłano ani jednego moskiewskiego ani niemieckiego żołnierza.

A tymczasem dzięki przewagom orężnym polskiego rycerstwa, które pierwsze w Europie pokazało, że jednak można Turków zwyciężać, odnosili cesarze niemieccy habsburskiego rodu znaczne korzyści nad osłabionym już półksiężycem i Turcy coraz bardziej ustępowali z Węgier. Sobieski, pomny traktatu zawartego z Leopoldem I, nie zawierał z Turcją pokoju, chociaż Polska żadnych posiłków od cesarstwa nie otrzymała. Gdy raz potęga turecka przełamaną została, łatwiej już potem było dokończyć tego, co Jan III z swymi polskimi husarzami rozpoczął, i Turcy cofając się stopniowo ustąpili ostatecznie całkowicie z Węgier i wtenczas nie chcąc narażać się na nową wojnę z Polską, ustąpili też z Kamieńca Podolskiego, który przez dwadzieścia siedem lat był w ich ręku. Ale Sobieski nie doczekał się już tego szczęśliwego dnia, w którym na kamienieckiej katedrze zatykano na nowo krzyże, a na wieże kościołów podolskiej fortecy wciągano na nowo dzwony. Stało się to bowiem dopiero w r. 1699, a król Jan III umarł w r. 1696.

Następcą jego miał być królewicz Jakub. Byłaby powstała nowa dynastia narodowa. Lecz przeszkodziła znowu Litwa. Na Litwie, niższej cywilizacyjnie, krzewiło się jeszcze w najlepsze dużo rzeczy, które w Koronie od dawna już nie uchodziły. Toteż w rządach Jana III znać było wyraźnie zamiar, by złamać te litewskie rządy możnowładcze.

Czyż nie stamtąd szedł jakby paraliż na całe państwo? A jeśli polskie możnowładztwo zechce pójść śladami Litwinów i jeżeli Litwa będzie rządzić Polską, dokąd zajdą i Polska i Litwa?

Hetman Stanisław Jabłonowski popierał z całych sił kandydaturę Jakuba Sobieskiego i znaczna większość szlachty polskiej szła za nim; ale możnowładztwo litewskie całe i część polskiego urządzili frymark tronem polskim. Ni stąd ni zowąd wypłynęła kandydatura niemiecka, a nie bez przekupstw. Królem został elektor saski, August. Protestantem był, ale dla pozyskania korony złożył w drodze do Polski w Piekarach na Śląsku katolickie wyznanie wiary.

Dwóch mieliśmy królów z dynastii saskiej: Augusta II, panującego od r. 1697 do 1733 i potem syna jego, Augusta III do r. 1763.

24. NAJSILNIEJSZE RZĄDY.

Czasy saskie są najsmutniejszym ustępem z dziejów polskich. Wiodły one królestwo polskie do upadku. O przyczynach tego ileż nie rozmyślano! Wielu mniema, jako przyczyną upadku polskiego państwa był brak silnych rządów, a otóż właśnie za nieszczęsnych czasów saskich były rządy najsilniejsze.

August II Sas mógł był mieć panowanie olśnione sławą, gdyby był miał choć trochę w sobie myśli wielkiej i godnej królewskiej dostojności. W dwa lata po wstąpieniu na tron doczekał się, że w pokoju zawartym w Karłowcu (w południowych Węgrzech) Turcja ustępowała równocześnie z Węgier i z naszego Podola. Kamieniec Podolski wracał do polskiej korony, a Turcja — dzięki zwycięstwom Sobieskiego — przestała być grożącą Europie potęgą militarną. Z małym już stosunkowo trudem można było teraz zabrać się gruntownie do Tatarów i dotrzeć do wybrzeży czarnomorskich. W każdym zaś razie miała Polska teraz ręce wolne do polityki bałtyckiej. Nadszedł czas sposobny, żeby Hohenzollernów wyrzucić z Prus Książęcych.

Zamiast tego cóż się dzieje? Król wiąże się z Hohenzollernem tajnym przymierzem i zezwala mu wkroczyć zbrojnie do Prus Królewskich. Już zajął Elbląg w r. 1669 i gotował się zająć Pomorze gdańskie. Król zgadzał się

na to! Odstępował całą prowincję, pozwalał ją zabrać i to podczas pokoju, bez wypowiedzenia wojny! Oczywiście, że zrobił się hałas na sejmie; powstało nawet stronnictwo myślące słusznie, całkiem słusznie o tym, żeby zrzucić z tronu takiego zdrajcę. Wkrótce nowa zdrada; w dwa lata potem w r. 1701, elektor brandenburski Fryderyk przyjął tytuł królewski, ale króla nie brandenburskiego, lecz pruskiego, w czym mieściło się tedy roszczenie do całych Prus, do Elbląga, Gdańska i Torunia. Polska była zaskoczona tą koronacją, ale August zdrajca wiedział o tym zamiarze i znowu w tajnej umowie dał swą zgodę. Uważał Polskę za przedmiot do handlu. Kosztem Polski kupował sobie zgodę Hohenzollernów na to, żeby się zrobić w Polsce królem dziedzicznym z władzą absolutną. On uznawał tylko interes swej dynastii (wettyńskiej), byle rozszerzyć jej panowanie. Polska miała stanowić doczepek do Saksonii, jakby jej rozszerzenie. Gdyby złączył ze swym rodzinnym elektorstwem saskim dziedzicznie całą Polskę i Litwę, byliby Wettinowie bez porównania silniejsi od Habsburgów i Hohenzollernów razem: Sasi rządziliby Rzeszą Niemiecką. Na to żaden książęcy dom niemiecki nie przystałby i August Sas miałby nieustanną wojnę przeciwko sobie, ryzykując nawet swoją własną Saksonię. Obmyślił więc sposób na to: Skoro nie można otrzymać od sąsiadów zgody na to, by cała Polska stała się własnością jego domu, więc niechby część, a resztą podzieli się ze sąsiadami! Więc rozbiór Polski? Tak jest. Król polski przygotowywał rozbiór państwa polskiego! Długo trwały oczywiście przygotowania, pokryte głęboką tajemnicą. Zaczyna się nieznany dotychczas nigdy rząd, rządzący w tajemnicy, nie dopuszczający obywateli do swych tajemnic. Prawdziwe rządy sprawowali Sasi.

Nie wiedział więc nikt i nie przypuszczał, że Polska

jest już tak podminowana. Kiedy w r. 1701 przyjeżdżał do nas nuncjusz papieski, nic nie mąciło uroczystości. Udał się także do Góry Kalwarii pod Warszawą, bo przywoził potwierdzenie reguły Marianów przez papieża Innocentego XII i sam odbierał śluby od pierwszego grona zakonników z bł. Papczyńskim na czele. Ten po powrocie z wyprawy wiedeńskiej nie zajmował się już niczym innym, jak swym zakonem. Niestety, zmarł w tym samym jeszcze roku 1701. U grobu jego w Górze Kalwarii działy się cuda, a w drugiej połowie XVIII w. przeprowadzono w zupełności proces beatyfikacyjny, lecz nie nastąpiło uroczyste ogłoszenie w Watykanie, bo tymczasem państwo polskie przestało istnieć i przestaliśmy mieć swego urzędowego reprezentanta przy Stolicy Apostolskiej.

Równocześnie kwitnęła w cichości w Krakowie świętość niewieścia, godna pamięci i czci w całym narodzie polskim. Córka rotmistrza z armii Sobieskiego, Nimfa Kazimiera Suchońska, urodzona w Krakowie, w r. 1688, wstąpiła do „Kanoniczek Ducha św.“, zwanych krótko Duchaczkami. Stary to zakon, od dawnych wieków średnich istniejący, stawiający schroniska dla starców, lecznice dla chorych, domy i szkoły dla opuszczonych dzieci. Potem zajmowały się tym inne, nowsze zakony, a Duchacy podupadli i niemal poszli w zapomnienie. Utrzymała się atoli żeńska gałąź zakonu, objąwszy w Krakowie wielką budowlę szpitalną na placu św. Ducha, gdzie dziś teatr (ruiny tej imponującej budowli dobrze pamiętam). Tam była czynną jako opiekunka nędzy ludzkiej siostra Nimfa i tam żyła do r. 1709, będąc „aniołów towarzyszką szczęśliwą i zaszczycona łaską wypraszania cudów i duchem prorockim“. Zmarła w chwale świętości i zaraz po jej zgonie pojawiły się obrazki, przedstawiające ją, jak klęcząca trzyma na rękach Najświętszą Dziecinę. Za świętego

również był uważany jej przewodnik duchowny, ksiądz Gwidon Bolesław Jaśniewicz. (Po pożarze gmachu na placu św. Ducha przeniosły się nieliczne Duchaczki do kościoła św. Tomasza przy ulicy Szpitalnej, gdzie utrzymują szkoły).

Tymczasem i Warszawa i Kraków miały się znaleźć w ogniu nowej wojny. Nikomu Polska wojny nie wypowiedziała i nie o dostęp do morza walczyło się! Bo też była to wojna nie o Polskę, nie dla Polski, lecz przeciw Polsce, a prowadzona przez jej własnego króla.

August zdrajca chciał też posiąść zgodę cara na swe plany, żeby dynastyczna potęga Wettynów bezpieczną była także od wschodu. Darowywał za to Moskwie Inflanty i Kurlandię, a więc i tam na północy odbierał Polsce brzegi Bałtyku! Panujący wówczas car Piotr Wielki, bardzo przedsiębiorczy (który Moskwę przemienił na Rosję), chciałby jednak posiąść całe Inflanty, żeby się na dobre rozsiąść na brzegach Bałtyku. Ale druga połowa Inflant była w ręku Szwecji. Trzeba je było zdobyć. Zmawiają się więc obydwaj przeciw Szwecji. Tegoż samego 1701 r. zawarli umowę, w której Piotr zobowiązywał się złączyć swoje wojsko ze saskim i wypłacić sto tysięcy rubli na... przekupywanie polskich senatorów. Odtąd rząd mógł być jeszcze silniejszym! Czyż chciał kto w Polsce nowych wojen szwedzkich? Ale chce tej wojny rząd i narzuci ją narodowi, bo to rząd silny, zrobi co chce.

I wtrącił August Sas Polskę w odmęty wojny zwanej północną, a która trwała całych 15 lat (1700 — 1715).

Król szwedzki Karol XII zwyciężył atoli Moskali pod Narwą, pod Rygą pobił złączone wojsko moskiewskie i saskie, a stamtąd ruszył prosto na Warszawę. Stolica była bezbronna. August otrzymuje od przekupionego senatu zezwolenie, żeby mógł wprowadzić do Polski swoje

Wydawca, miejsce odbicia, miejsce wydania: Drukarnia Tow. Św. Michała Arch. w Miejscu Piastowym, pow. Krosno.